

# TYGODNIK ILLUSTROWANY.



№ 185.

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa 11 kwietnia, 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

## TREŚĆ NUMERU.

Franciszek Zabłocki (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Kościół Panny Maryi w Poznaniu (z drzeworytem). — Sześćdziesiątka zamku w Mirowie (z drzeworytem). — Izba radziecka w b. ratuszu krakowskim (z drzeworytem). — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Przegląd polityki zagranicznej. — Były kościół św. Józefa w Poznaniu (z drzeworytem). — Franciszek Bielinski (dokonczenie). — Jarema (powieść). — Szachy. — Rebus.

rackim, i odtąd\* też do r. 1785 najwięcej napisał dzieł dramatycznych.

Utwory te zwróciły ogólną uwagę na Zabłockiego. Król Stanisław August zapraszał go na czwartkowe obiady, gdzie czytywał swe komedye; otrzymał medal z napisem *merentibus* i doznawał wiele łaski od kró-

skruszył pióro i postanowił przywdziać suknię duchowną.

Nauczywszy się wprędce po włosku, wyjechał do Rzymu w czerwcu 1795 r., gdzie przyjąwszy pierwsze święcenie, oddał się całemu nowemu powołaniu. Rodacy jak: Lanckoroński, Karwicki, książę Adam Czartoryski generał ziem podolskich i. w. i.

ofirowali mu wtedy na wyścigi bogate prebendy; ale Zabłocki za powrotem do kraju udał się do Sieniawy, na dwór pierwszego swego dobroczyńcy, a w r. 1797 objął plebanią w Górze pod Puławami, licząc podówczas 43 lat wieku.

Kiedy ksiądz Grzegorz Piramowicz przeniósł się do Międzyrzecza w r. 1800, Zabłocki otrzymał po nim probostwo Końskowoli. Tu spełnił smutny a szlachetny obowiązek czuwania z troskliwością nad przyjacielem swoim Franciszkiem Dyonizym Książninem. Poeta ten, utraciwszy rozum, potrzebował ręki czulej i ciągłej opieki. Milczący, z osłupiałym wzrokiem i odkrytą głową, wychodził codziennie z probostwa, stał przy kompasie w pobliżu umieszczonym i wlepił wien oczy, jakby liczył godziny co go zbliżały do wieczności. Zabłocki wiódł go ztąd na posilek i spoczynek, chronił przed skwarem, zimnem i deszczem, czuwał nad nim jak ojciec nad niedoświadczonym dziećciem, pomny że dotknięty cierpieniem umysłowym Książnin, był kiedyś szczerym jego przyjacielem. Kiedy Zabłocki stracił ukochaną małżonkę, a zarazem i dzieci, Książnin na pocieszenie go w żalu i rozpacz, napisał: „Żale Orfeusza nad utratą Eurydyki,“ pełne serdecznego współczucia i rzewności. Z osieroconym małżonkiem dzielił łzy i cierpienie. Teraz Zabłocki kłiwie mu odplacał te dowody przywiązania.

Zerwawszy stanowczo ze światem, Zabłocki oddał się całemu pracom koło powierzonej sobie owczarni, pełniąc obowiązki swoje z poświęceniem. Głuchym był na namowy, ażeby starał się o wyższe dostojenstwa duchowne, choć wiedział że przy stosunkach i staraniu o-

sób przeważny wpływ mających, mógł łatwo dojść do infuły biskupiej; ale te zaszczyty były dlań obojętne. Po utracie tego co ukochał, gdy pogrzebał żonę i dzieci, cicha plebanią w Końskowoli była mu dostateczną, aby w niej resztę dni życia przepędzić.

Na jego rękę Książnin d. 25 sierpnia 1807 r. u-

## Franciszek Zabłocki.

W licznie gronie pisarzy należących do tak zwanego okresu Stanisława Augusta, Zabłocki nieposłownie zajmuje stanowisko, jako satyryk i komedyopisarz władający po mistrzowsku językiem. Nikt mu w tym nie dorównał; zbliżył się tylko do niego w *Synu marnotrawnym* Trembecki. A jednak, pomimo tych zalet przeważnych, nie zyskał tyle co inni w narodzie rozgłosu: mało jest znany, mniej jeszcze czytany.

Szczęśliwym trafem redakcyja Tygodnika Ilustrowanego otrzymała nieznaną dotąd wizerunek Zabłockiego; podając go czytelnikom, załączamy krótki zyciorys tego pełnego zasługi męża.

Franciszek Zabłocki urodził się na Wołyniu d. 2 stycznia 1754 r. Rodzina jego szlachecka, herbu *Łada*, oddawna osiadła była w tej części rzeczypospolitej. W młodym wieku stracił ojca; matka, zostawiona z dwoma małoletnimi synami Antonim i Franciszkiem, wysłała powtórnie za mąż, oddając rękę Chmielowskiemu, który troskliwą, rodzicielską opieką otoczył powierzone sobie sieroty. Obaj też bracia zachowali dla niego dożgonną wdzięczność, za starania około naukowego ich ukształcenia.

Franciszek wraz z bratem starszym Antonim pobierał nauki w Międzyrzeczu wołyńskim u księży pijarów. Po ukończeniu szkół, Antoni zaciągnął się w szeregi wojsk rzeczypospolitej i dosłużył się stopnia brygadiera; Franciszek zaś, przybywszy do Warszawy, pracował w izbie edukacyjnej, a obok tego używanym był przez księcia Adama Czartoryskiego generała ziem podolskich, do załatwiania i prowadzenia licznych korespondencyj.

Pragnąc używać szczęścia przy rodzinnym ognisku, ożenił się, i jako podarek ślubny, za staraniem księżny Czartoryskiej, otrzymał urząd sekretarza izby edukacyjnej, który piastował przez lat ośmnaście. Ale niezadługo utracił ukochaną żonę i dwoje dzieci. Osierocony jako mąż i ojciec, od r. 1781 oddał się pracom lite-

la, jak o tym sam wspomina. (1).

W czasie wypadków r. 1794 zasiadał w komisji inkwizycyjnej. Po ostatnim rozbiórce kraju, nie znajdując już w pracy literackiej ulgi i przyjemności,

(1) W przypisaniu *Fircyka w zalotach* królowi Stanisławowi Augustowi.



FRANCISZEK ZABŁOCKI (Rysował Polkowski z wizerunku rodzinnego).

snał snem wieczystym. Odprowadził na miejscowy cmentarz zwłoki przyjaciela i pożegnał go żalobną pieśnią.

W roku 1819 dotknął go nowy smutek, utracił bowiem starszego brata Antoniego, którego szacunek wszystkich otaczał, jako pełnego zasług żołnierza i obywatela. Na rok przed śmiercią zaczął przeglądać pisma swoje, poprawił pięć komedyj i oddał je w rękopiśmie księciu Adamowi Czartoryskiemu. Umarł w 67 roku życia, d. 10 września 1821 r.

Średniego wzrostu, wraz twarzy miał przyjemny i łagodny, oczy ciemno-niebieskie, włosy jasne.

Zablocki głównie jako komedyo-pisarz odrębne w zakresie swym zajmuje stanowisko. Talent jego w komediach wydatnie i nadaje mu prawo do zajęcia jednego z pierwszych miejsc w gronie pisarzy czasów Stanisława Augusta. Jeżeli Krasickiego satyry można brać za wierne obrazy społeczności poety, to komedye Zablockiego równie wiernie odzwierciedlają charaktery tegoż okresu. Krasickiego utwory łatwiej się upowszechniły samą swą formą i stanowiskiem ich autora. Zablockiego prace potrzebowały sceny, a chociaż przedstawiano je na teatrze narodowym, rychło gasły w pamięci wśród okoliczności krajowych i nowych sztuk dramatycznych, tłumaczonych lub naśladowanych.

Po utworzeniu katedry literatury polskiej w b. uniwersytecie warszawskim, ówczesny profesor Ludwik Osieński zbył krótkim wspomnieniem Zablockiego, którego utwory zasługiwały przecie na głębokie i sumienne studia.

Dla pokazania że nie stał niżej od najpierwszych poetów z czasów Stanisława Augusta pod względem formy wiersza, dość nam będzie przytoczyć ustęp z komedyi p. n. *Fircyk w zalotach*, jak wówczas zwano ów typ młodzieży, który później przybrał miano *elegantów, dandych, hów* i *złotych młodzieży*. Fircyk tak się przymila młodej i gładkiej wdowie podstolinie.

„Ach! ja taką oziębłość mam za smaku skazę.  
Podstolina bez gustu? Chimera! chimera!  
Przecież ujęć za grzeczność mogę kawalera,  
Znam ludzi i mnie ludzie. Żyjąc w wielkim świecie,  
Wiem jak czić piękność, jak się przymilać kobięcie.  
Pani z domu wyjeżdża: ja za nią w też tropy,  
Drugi wierny Ulisses dla swój Penelopy,  
Z tą jedynie różnicą, że tamtego nawy,  
Mnie mój Hektor angielczyk unosił cisawy.  
Wielkaż to wada ogon! Dzielniejszy koń kusy!  
Widziała pani jego korwety i susy?  
To lekkie nóg zbieranie, to zagięcie karku?  
Nie w polskim też mój konik chował się folwarku,  
Król Angłów siedział na nim popisując szyki,  
Mające na wyprawę iść do Ameryki.  
Co mówisz podstolino? Albo koń niesprawny?  
Ani pan jego nudny, jeśli nie zabawny.  
W drodze jak cię bawiłem! Szemrzące strumyki,  
Drzewa liściami szumiące, kwilące słowiki,  
Wielbiące cię natury były to odgłosy.....  
Komuż, jeśli nie tobie, kłaniały się kłosy?  
Komu kwiaty balsamem lubiej techny woni?  
Komu zefir chłód czynił? Komu wiał Fawoni?  
Dla kogo wierne echa szły z gór na doliny?  
Dochodziłem ich celu: ho!d to podstolino.  
Mając humor tak słodki, grzeczny, żartobliwy,  
Żebym się nudził? Nado byłym nieszczęśliwy!  
Dalej moja bogini, mieszaj piolum w miody,  
Głaszcz, martw, rzucaj pioruny i przechodź w pogody;  
Wszystko to gotów jestem z dziwnym znośić męztwem;  
Stołość będzie mą bronią, pokora zwycięstwem;  
Przebija ona mury, srogie koi zwierze.  
Zląk się Parys Pallady, przyznał dank Wenerze,  
Jeden słodki rzut oka i westchnienie drzące  
Zmogło oczy Junony gniewem pałające!  
Tyś jest dla mnie Wenera. Jak piękności matka  
Dla Parysa, tyś dla mnie jest tak piękność rzadka;  
Jak Parys tamte dla niej porzucił niebianki,  
Tak ja wszystkie dla ciebie rzucam warszawianki.

Zablocki pisał tę komedya w r. 1781, lat więc temu okragło osmdziesiąt dwa. We trzy lata potem wydał *Sarmatyzm*, w którym, stawiając typ starego szlachcica, kładzie mu w usta tak odpowiednie jego charakterowi słowa:

„Otóż te polityzmy, te grzeczności wasze,  
Modne rozumowania, sens! Na pałasze  
Dobrodziej! to rozum był w dawnym Sarmacie!  
Teraz tylko piszecie pięknie, rozprawiacie,  
A gdy przyjdzie krzyżową machnąć kiedy sztuką,  
Stary popraw! Oj! smyki! smyki z tą nauką!“

W literaturze dramatycznej Zablocki stoi na samodzielnym stanowisku. Zaprawdę, on tylko jeden miał siły potemu, ażeby zostać twórcą polskiej komedyi. Dowód na to stawiają dwa jego główne utwory, *Fircyk w zalotach* i *Sarmatyzm*. Z jakimże to wysokim pojęciem artystycznym maluje wprowadzone charaktery, jakże jedynym językiem je kreśli! Jeżeli Trembecki, zaprawiony na wzorach pisarzy z epoki jagiellońskiej, stawiany był za wzór polszczyzny, to Zablocki, co do wyrobienia języka do dyalogów w komedyi, niemniejsze ma zasługi. Jak Rej w swych pismach zachował i skrytykował mowę potoczną ojców naszych, tak Zablocki daje nam język wszystkich warstw społeczności XVIII wieku. Jakież ten język bogaty w zwroty, przysłowia i przypowieści, tak dosadnie malujące myśli, uczucia i charakter wprowadzonej postaci! Jeden tylko Zablocki z całą prawdą wiernie odwzorował mowę potoczną społeczności swojej. Jeżeli nie miał wzniesłego natchnienia poetycznego i do liryzmu talent się jego nie nagiął, to w satyrze i komedyi może pomiędzy najpięszymi stanąć. Niebrak mu także humoru i dowcipu, które tym więcej nabierają ceny, że ujęte są oprawą mistrzowskiego języka.

Od roku 1781 zaczął drukować swe komedye. Pierwszą z nich była komedya w trzech aktach: *Zabobonnik*. Po niej ogłosił: *Fircyka w zalotach*, *Sarmatyzm*, *Żółta szlafmyca* i w. i., tak oryginalnych jak tłumaczonych, wierszem i prozą. Z przekładów wymienimy *Amfitryjona* z Moliera, który szlusznie Franciszek Kowalski, w lat blisko siedmdziesiąt po Zablockim, nazywa *arcydziełem tłumaczeń*. (1)

Sztuki te, wyszedłszy prędko z obiegu księgarskiego, stały się rzadkościami bibliograficznymi, a imię Zablockiego w pamięci narodu niezastąpienie przysało. Dopiero w latach 1829—1830 Franciszek Salezy Dmóchowski w *Bibliotece narodowej*, w starannej edycji, wydał zbiór pism tego pisarza; otrzymawszy od księcia Adama Czartoryskiego oryginalne rękopisma Zablockiego, które on złożył przed zgonem swoim w bibliotece puławskiej. F. S. Dmóchowski ogłosił je w VI tomach, z krótkim życiorysem. W tym wydaniu mamy następne komedye Zablockiego:

Tom 1. *Zabobonnik*, komedya w 3 aktach wierszem. *Balik gospodarski*, opera komiczna w 3 aktach.

Tom 2. *Fircyk w zalotach*, komedya w 3 aktach wierszem. *Żółta szlafmyca*, albo kolęda na Nowy-rok, opera w 3 aktach wierszem. *Doktor lubelski*, komedya w 3 aktach, z francuzkiego przerobiona prozą.

Tom 3. *Sarmatyzm*, komedya w 5 aktach wierszem. *Wielkie rzeczy! i cóż mi to szkodzi?* komedya w 2 aktach prozą.

Tom 4. *Mężowie poprawieni przez swoje żony*, komedya w 3 aktach wierszem. *Matronkowie pojednani*, czyli przesąd modny, komedya w 5 aktach, z francuzkiego p. de la Chaussée, wolne tłumaczenie wierszem.

Tom 5. *Pasterz szalony*, komedya pasterska w 5 aktach, wolny przekład z Kornela. *Różne wiersze*.

Tom 6. *Wiadomość o życiu i pismach Franciszka Zablockiego*. *Amfitryjo*, komedya w 3 aktach z Moliera *Różne wiersze*.

Do 80 sztuk dramatycznych napisał, pracując dla podniesienia sceny narodowej. Tłumaczył, przerabiał i naśladował głównie z teatru francuzkiego, który był wtedy wzorem dla wszystkich. Biblioteka teatrów warszawskich takich prac jego znaczny ma zbiór, pozostała zaś część F. S. Dmóchowski w rękopiśmie darem złożył b. Towarzystwu przyjaciół nauk.

Z natchnienia księcia Adama Czartoryskiego g. z. p. tłumaczył i wydał: *Rozmowy Sokratyczne w różnych materjach politycznych*, z francuzkiego. Warszawa r. 1775. *Dzieła Saint-Réala*, z francuzkiego tomów 5. Warszawa 1788 i 1789. *Tom-Dżon, czyli podrzutek*, romans Fildinga z angielskiego przełożony, tomów 3. Warszawa 1793.

Podczas sejmku czteroletniego pisał wiele wierszy w celach politycznych, które drukował i rozrzucał bezimiennie; w ogromie jednak z tego okresu broszur i świstków, trudno znaleźć utwory Zablockiego. Należał także do współpracowników pisma wziętego wtedy mającego, które wychodziło p. n. *Zabawki przyjemne i pożyteczne*. Najwięcej wierszy w nim umieścił tłumaczonych z francuzkiego; zbiór ich dołączył w tomie VI pism tego pisarza F. S. Dmóchowski.

Dwie pozostawił tylko satyry: *Spacer nocny po Warszawie* i *Oddalenie się z Warszawy literata*. W pierwszej dosadnie maluje znikczemnienie i roz-

puszę wyższej klasy młodzieży; w drugiej smutny stan literatów i spodlenia tych, co poświęcili talent swój i pióro na schlebianie próżności panów i zamownej szlachty. Obie satyry dodać mogą barw i niemało do smutnego obrazu tamtych czasów. *K. Wł. W.*

## Kronika tygodniowa.

Ręczę że nie zgadniecie, czytelnicy, o czém chce dzisiaj pisać.

Wprawdzie przyzwyczailiscie się już trochę do tego, iż moje kroniki, które (ufam waszej łasce i cierpliwości) może czytać raczycie, zmienilem od pewnego czasu na pogawędki albo pogadanki, bo w istocie nie wiem jakie im nadać miano.

Owóz wyzwałem w szranki waszę domyślność, twierdząc że nie odgadniecie nigdy jaka dzisiejsza kronika czy pogadanka tok przybierze.

Widzę już jak wzruszacie ramionami.

— A to trudna także zagadka, powie niejeden albo niejedna z was. Wszakże kilka dni temu jak święta przeszły, musi więc o tém koniecznie wspomnieć, a wzięwszy assumpt od bab i szynek, uczepi się maki, z której pieką się baby, albo wieprzów, z których wędzi się szynka, przejdzie może do wspomnień dawnych święconych, wydobędzie z zapyłonego pliku papierów (który koniecznie każdy autor musi posiadać jako sukurs) zapomniany już, choć może po tyśiąc razy powtarzany opis święconego u naszych przodków, ile to kłopotów stanowiło gospodyniom owo pieczywo, do którego udania lub nieudania się taką wartość przywiązywały, — i z naszą szkodą starczy mu materyału na jedną, dwie, trzy, cztery kroniki.

Otóż mylicie się, nie będę wam pisał o świętach ani o święconem, zbyt wiele już bowiem się o tém nagadało w zeszłych latach.

— Alboż to postu nie ma na pogotowiu? powie ktoś drugi. Skończył się, więc trzeba o nim coś wspomnieć. Tutaj rozwinięcie przedmiotu łatwe. Ileż to rzeczy o śledziu i oleju napisać można! A już do moralnego znaczenia postu przeszedszy, toby i całe tomy nie wystarczyły, gdyby się chcieli do tego sumiennie zabrać.

A jednak ja i o poście nie będę wspominał, chociaż doprawdy wartoby się zastanowić trochę nad tém, zkąd pochodzi że ryby każdorocznie drożeją u nas. Dziwna rzecz, kraj nasz słynął kiedyś jako bardzo rybny. Też same rzeki w nim płyną, a żadne spotkanie się z kometa nie sprawiło wysuszenia jezior i stawów. A jednak za funt żywego szczupaka, który za naszej jeszcze pamięci dwadzieścia groszy kosztował, dzisiaj trzy złote zapłacić trzeba. Ale za dalekoby to nas poprowadziło. Podobne niezawodnie powody wpłynęły i na to, że pszczolnictwo, które u nas stało na tak wysokim stopniu rozwinięcia i ważną gałąź przemysłu narodowego stanowiło, dziś w niepojętym znajduje się zaniedbaniu; że ogrodnictwo upadło także; że zwierzyny brak, a lasów coraz mniej; że każdy skarży się na brak pieniędzy; że... Ale mniejsza o to wszystko, dziś o innej sprawie wypada mi mówić.

— Już go mam, odezwie się najdomyślniejszy czytelnik. Wymyśli jaką powiastkę i poda nam ją jako prawdziwy wypadek, jak to w ogóle robili i robią wszyscy przeszli i terażniejsi kronikarze całego świata.

I w tém się mylisz łaskawco; trzeba ci bowiem wiedzieć, że z powiastek jakie moja kronika podawała, bardzo mało było zmyślonych. Alboż to na Bożym świecie brak przedmiotów, wypadków, faktów? Rozpatrzywszy się tylko trochę na prawo i na lewo, aż mrowi się tak ich wiele. A kronikarz z konieczności rozpatrywać się musi, wszakże to jego rzemiosło. Czego zaś sam nie dowidzi, o tém mu doniosą usłudni znajomi i korespondenci, których (dzięki im) nigdy nie brak. A widziałeś to? a słyszałeś o tém? a posłuchajno tylko, powiem ci nowinę. Prawda że większą część tych nowin sprawdzić nieraz potrzeba, ale o to już mniejsza, byle były. A że niektóre z nich są nieprawdopodobnemi, to właśnie tém większy dowód że prawdziwe. Bo w życiu naszym najwięcej wydarza się nieprawdopodobieństw. Los figlarz czyni sobie zbyt często rozrywkę z programatów życia jakie ułożył na siebie i bawi się przekrzywując je na prawo i na lewo. Każdy zaś taki wypadek, zawód lub niespodzianka, stanowią wyborny materyał dla zbieracza.

Otóż w nas wszystkich istnieje jedna wielka wada. Karr powiedział, że to nie Francuzi stworzyli wodwile, ale wodwile wymyśliły Francuzów. I au-

(1) Dzieła Moliera, Wilno 1848 r., tom V.

tor Os miał w tém wielką słusność. Francuzi z wodwilów, są to tylko wymyśły Skribego et comp. Owe wiecznie uśmiechnięte wdowy i rozromansowane panny, owi starzy pułkownicy, przybywający w sam czas, żeby nawymyślać wartogłowom siostrzeńcom, owi kochankowie którym się zdarzają tak pocieszne wypadki, i służący gapie, i wiecznie naiwni prowincjonalisci, i zawsze śmieszni Anglicy,—naprawdę na scenie się tylko zdarzają. A cóż dopiero powiedzieć o piosnkach, do których się ucho przyzwyczaiło, a które nieraz stanowią najniedorzeczniejsze przerwy w rozmowie, utworzone tylko dlatego, ażeby wypowiedzieć mniej więcej zgrabnym wierszem, albo mniej więcej udatną muzyką, kalambur lub dowcip zużyty? Wszystko to w prozie wydawałoby się nieznośnym, starém, naciąganiem; ale przy akompaniamencie skrzypiec i klawirynów przejdzie jakoś i nawet oklaski wzbudzi. Otóż tak samo jak do tych piosnek, widzowie przyzwyczaili się i do *personalu* (przepraszam za cudzoziemski wyraz, ale nie ma on u nas odpowiedniego) wodwilowego, i mniemają że tak samo dzieje się na świecie jak na scenie, a nawet niekiedy świat nagięć usiłują do sceny, i nie wierzą temu co przed oczyma ich się dzieje, sądząc że to powtórzenie jakiego wodwila, które się skończy na ogólnej strofocze przez aktorów odspiewanej.

Owóż co we Francji dzieje się na małą stopę z wodwilami, to w większym daleko zakresie wydarza się na całym świecie z powieściami, utworami dramatycznymi i w ogóle z wszelkimi płodami wyobraźni, które dziś w życiu społecznym tak przeważnie zajęły miejsce. Uderzmy się w piersi—ilu to z nas z powieści tylko czerpało pojęcia o życiu! Nie wątpię że przyznasz słusność mojemu twierdzeniu, piękna (dla wszystkich albo dla jednego, zawsze dla kogoś) czytelniczko, jeżeli zechcesz szczerze wejść w siebie. Znałem całe pokolenie, któremu Balzak do tego stopnia pozawracał głowy, że wszystko co żyło kształciło się na Balzakovskich bohaterach i przymierzało do swojego życia wypadki tej lub owej części *Komedii ludzkiej*, jak znakomity autor francuzki nazwał zbiór swoich powieści. A Bajronistów nie było to u nas? wszakże Kaczkowski o tém całą powieść napisał. A Sandystów czyliż brakło? A nawet Poldekociści zdarzali się, chociaż rzadziej daleko. Było to za błogich czasów wielkiego zamiłowania publiczności naszej w literaturze francuzkiej i przekładach z téjże literatury, które długo zajmowały u nas wyłącznie prawie miejsce dzieł oryginalnych.

Później, chociaż ustał powoli zapał do francuzkich romansów i dramatów, wpływ ich jednakże na głowę i usposobienia, młodzieży zwłaszcza, nie ustał wcale. I jakże się dziwić temu, kiedy wiadomo że po pierwszych przedstawieniach Zbójców Szyllera, młodzi ludzie marzyli tylko o tém, żeby iść rozbijać do lasu, i kilku naprawdę puściło się na tę drogę. A ostatni romans Wiktora Hugo, *Nędznicy* albo *Nędzarze*, jak kto ich tam nazwać zechce, czyż setkom, tysiącom nie pozawracał w głowach? Tak się dzieje z dziełami geniuszu; ale i talenta wywierają swój wpływ, choć może nie tak widoczny, a przynajmniej nie tak gwałtowny. Unas, lubo geniuszów w ostatnich czasach poskapili nam nieba, to wszakże na brak pisarzy z talentem żalić się nie możemy. Więc nie dziwić się że i u nas brano często wymysł za prawdę życia i na wiarę piszących tworzone sobie (przepraszam za zbyt śmiało może twierdzenie) sztuczna przeszłość, sztuczna terażniejszość, a często i przyszłość sztuczna. Bo i jakże nazwać owo systematyczne uwydatnianie jednej tylko strony charakteru przodków naszych, a umyślne pozostawianie w cieniu tego, co dla własnej nauki i korzyści własnej powinniśmy być poznać? Obraz musi być przedewszystkiem wierny, a kto się niezgodnym czuje do odtworzenia wszystkich barw jasnych i ciemnych, niechby się lepiej nie rwał do pióra. Takich było wielu, ale byli i inni, którzy ze świadomością rzeczy grzeszyli. I niestety! ponieważ dla wielu opowiadania takie stanowiły jedyne prawie źródło z którego się czegoś o przeszłości dowiedzieć mogli, więc sami osądźcie ile złego sprawić musiało takie systematyczne fałszowanie wyobrażeń.

Co miało miejsce z przeszłością, tego i terażniejszości nie skąpiono. Jak wiatr powiał i nastroił instrumenta autorskie na tę lub ową nutę, tak już wszyscy jednostajnie, jeden za drugim brzdąkali. Był czas kiedy moda zalecała pisać tak zwane powieści ludowe; ale pytam się, czy można było jakiegobądź wyobrażenia nabrać o ludzie naszym z tych powieści? Przedstawiały one najczęściej jakiś nowy świat, wyidealizowany w autorskich głowach. Może cel był dobry, ale środki użyte do osiągnięcia go okazały się nietrafne.

A jednak, na dane hasło, iluz to się znalazło na-

śladowców! Dziwnemi nam się wydają obecnie sielanki poetyckie, owe wymuskane pasterki, owi pasterze filozofujący, owi Tytyrowie wydobywający melodyjne głosy z fletni, kiedy my na własne oczy widywaliśmy Tytyrów, którzy potrafili tylko wydobywać lony z wozów i prosiaków z komór cudzych. Ale przeciw manierze niema rady; istnieje ona wszędzie, tak w literaturze, jak w malarstwie, jak w muzyce, a skoro raz zapanuje na dobre w tej lub owej gałęzi, to już nie pozbyć się jej. Uwielbiano i chwalebiono to, co było systematycznym fałszem, albo nieumiejętnością poznania prawdy.

O cóż chodziło tej literaturze? O naprawienie i sprowadzenie na dobry tór stosunków gromady z dworem. Cel więc miała chwalebny, zle się tylko brała do dopięcia go. Chcemy wierzyć że ci którzy najbliższą styczność mają z włościanami, znają ich dokładnie, (choć w wielu razach tak nie jest, a dowodem tego utrudnienie tych właśnie stosunków, o których mówiłem). Chcemy wierzyć temu; ale ci którzyby pragnęli naukę z książki wyciągnąć, zamiast polepszyć sprawę, pogorszyliby ją niewątpliwie. W ogóle, za danym przykładem, jedynym prawie tłem takiej powieści był romans młodego szlachcica z chłopką, *wiedzenie jej*, a następnie zdrada szlachcica i nieszczęśliwa śmierć chłopki. Na co więc mogła się zdać taka literatura, naco idee które zaszczebiała, naco ci którzy na wiarę książek idee takie chcieli w czyn wprowadzać?

A jednak ta sprzeczność oczywista pomiędzy powieścią a życiem była prawdopodobieństwem i dlatego się przyjęła.

*Ab uno nosce omnes*, tak było ze wszystkiém. A mówię teraz o utworach branych z życia, nie o tak zwanych historycznych. Rozpatrzenie się tylko trochę w tej sporiej litanii tytułów tworzących katalog takich dzieł i zbieranie wspomnienia swoje o tych któreście przeczytali. Jak wyglądają owi bohaterowie przedstawiani wam tak sympatycznie? Studyjcie ich charaktery. Mimowolnie wczytywanie się w te dzieła, z konieczności *tendencyjne*, zaszczebiało nienawiść pewnych klas społecznych jednych przeciw drugim. Nienawiść tam, gdzie miłość właśnie bez granic, bez miary panować powinna! Czytania te nie poprawiały jednych, a gorszyły drugich. Zdania wygłaszane przez bohaterów i czyny ich trafiały do przekonania czytających, i niejednemu zdawało się, że jest opisywanym Janem albo Józefem, chociaż rzeczywiście podobnym był do bohaterów książki jak gęś do kozy.

Więc wcieliwszy się w ulubioną postać, młody (bo najczęściej młody) czytelnik tworzył sobie sztucznie też same położenia, nienawidził bez przyczyny i stawał się, nie wiedząc o tém, jednym więcej ziarnem niezgody. Dla niego w życiu prawdopodobnym było to tylko, co z powieści zaczerpał, a samo życie nieprawdopodobieństwem się wydawało. Nie śmiećcie się z tego: takich było wielu i dziś ich niebrak jeszcze. Podobni oni do tych, co się z tuzinkowych romansów chcą uczyć historii. A tutaj gorzej stokroć; bo nie o minione czasy już idzie, ale o terażniejszość, o to co żyje, co drga, co oddycha i co przy dobrej woli i umiejętnym pokierowaniu, dałoby się na zbawiającą naprowadzić drogę.

Nie chcę już mówić o tych powieściach, (a czy brakło ich u nas?) w których bohater był zawsze obdarty i nieumyty, w których kazano najczystszej enocie gnieździć się w nędznej chałupie, a poezji, poświęceniu, zapałowi, najpiękniejszym przymiotom ludzkości, wyglądać przez dziurawe buty. Zdarza się to czasem, ale czyliż jest zasada, albo raczej czyliż jako zasada powinno być szerzonem? Przedewszystkiem przekonani jesteśmy, że jakkolwiek dzieje ludzkości przedstawiają nam wielu geniuszów umierających z głodu, geniusze ci jednak śmierć tę głodową winni są w pewnej części sobie samym. Kiedy nie możesz odrazu przesunąć góry, to ją podkopuj powoli, przynajmniej możesz mieć słabą nadzieję dojsca do celu. Tak samo z życiem. Trudno z niem z razu; trzeba zastosować wysiłek do napotykaných przeszkód. A kto zniechęcił się za pierwszym wysileniem i zaprzestał prób dalszych, ten nie zasługuje ażeby się złote wrota życia otworzyły przed nim. Gdyby Sykstus V, kiedy jeszcze służył za pastucha, uwierzywszy przepowiedni co mu tyare papieżką rokowała, porzucił był służbę i dozwolił wieprzom chodzić samopas, właściciel trzody byłby go odpędził od siebie i całe życie jego nieodzwonne innyby obrót wzięło. A wielu z mieliśmy i u siebie takich zniechęconych, którzy znieawidzili świat dlatego, że z otwartemi rękami nie przyjął odrazu ich wielkości?! Nie zdaje się żeby ich nazwać można bohaterami, a jednak w mniemaniu

wielu uchodzą oni za takich i znajdują nawet naśladowców.

Oto znowu prawdopodobieństwo niezgodne z prawdą, i wcielenie idei, która żadnej korzyści przynieść nie może, a tylko szkód staje się przyczyną.

Gdybym powtarzał tutaj za panią matką paciérz, mówiłbym wraz z innemi, że to wszystko jest skutkiem braku krytyki i krytyków. Tę krytykę i tych krytyków wywoływano zawsze u nas z pod ziemi i pisano o tém długie rozprawy, nauczające niby jakim ma być rozsądny a sprawiedliwy krytyk.

Ale rozprawy te nikogo nie nauczyły, a nie wypełniły braku na który narzekały.

Dlaczego?

Bo w narodzie naszym brak jest właśnie krytycznego zmysłu. Oto nasza główna wada. Gdyby inaczej było, czyżbyśmy wpadali tak często w te same rozdoly, w których już po tyle razy nadkręcaliśmy karku? Krytyka pisarza istnieje tylko *a posteriori*, krytyka w życiu i *a priori* także uczyć powinna. W wielu razach nazywa się ona doświadczeniem. I nie dziwić się temu, bo doświadczenie osiągnąć tylko mogą ci, którzy rzeczywiście zmysł krytyczny posiadają; innym na nic się ono nie zda. A jednak najpotrzebniejszy to przymiot. Doświadczeniem jest życie, doświadczeniem jest historia ludzkości, w wielkich swych i małych objawach. Kto jedno poznał, a drugą zrozumieć potrafi, ten na miano prawdziwie mądrego zasługuje. A mądrość, jeżeli u pojedynczego człowieka jest znakomitym przymiotem, u narodów bywa cnotą. Wierząc mi, ci Anglicy, to enoty chodzące.

Dziwne to zaiste jest położenie czwioka który fikcyjne sobie życie utworzył i podług niego czynności swoje reguluje. Samo już wyjście w świat jest fałszywym krokiem. Systemat nim kieruje, systemat zupełnie sprzeczny z rzeczywistością, a najmniejsze zбочenie od przewidzianých kolei, staje się już rozczarowaniem i klęską. Sami pamiętamy czas, w którym istniało u nas mnóstwo kobiet *nepojętych*. Wchodząc w związki małżeńskie, tworzyły one najniešťęśliwsze stadła pod słońcem. Uważając mężów swoich za daleko niższych umysłowo, za pozbawionych poezji, uczucia i t. d., udręcały ich i siebie. A cóż to sprawiło? Młodość strawiona na czytaniu romansów francuzkich nowej szkoły.

Więc prawda a prawdopodobieństwo...

— No proszę, moi państwo, odezwie się jakiś czytelnik, gada nam tu od godziny o prawdopodobieństwie i prawdzie, a dotychczas nie powiedział nawet o czém to miał pisać z początku, chociaż kronika zbliża się do końca, i dobrze że się zbliża, bo jest kaducznie nudna. (Czytelniku, nie masz krytycznego zmysłu!) Skończ-że raz z rozumowaniami swojemi, panie kronikarzu, i powiedz co masz powiedzieć.

Więc chcecie koniecznie? Ha dobrze, niech będzie i tak. Ale przedewszystkiem muszę wam przypomnieć fakt z życia Ezopa, który może wyszedł wam już z pamięci; Ezop bowiem nie cieszy się teraz taką wziętością, jaką miał dawniej.

Nie pamiętam w jakim już mieście, bajkopisarz spotkał na rynku znacznego urzędnika. Urzędnik ów znał poetę i zwykle był nań łaskawy. A więc zatrzymał się przed nim i spoglądając na niego z uśmiechem, jakby się spodziewał jakiej bardzo dowcipnej odpowiedzi, rzekł:

— Gdzie to idziesz, Ezopie?

— Nie wiem, odpowiedział najspokojniej zagadnięty.

— Jakto, nie wiesz?

— Nie wiem, bo nie wiem. I zkadze mam wiedzieć?

— A to tak, odezwał się urzędnik obrażony w swojej godności. Poczekaj, nauczę ja cię odpowiadać w sposób sztycherzy ludziom znakomitym, którzy raczą ci zadawać pytania.

I przyzwawszy ludzi idących za sobą, rozkazał Ezopa odprowadzić do więzienia.

— A co, czy nie miałem słusności? zawołał wówczas odwracając się bajkopisarz. I zkadze u licha mogłem wiedzieć, że do więzienia pójdę?

Tak i ze mną się stało, kochani czytelnicy. Dlatego tylko wyzywałem z początku tak śmiało waszę domysłność, że ponieważ nie wiedziałem sam z razu o czém mi pisać przyjdzie, wątpiłem ażeby ktokolwiek inny potrafił to odgadnąć. A jednak kronika wyszukała się jakoś i spłaty zapelnione. Dowodzi to prawdziwości znanego wiersza:

*Najciężej zacząć, pójdzie się i dalej.....*

Przepraszam pokornie, że w drugim wierszu považam się uczynić niejaką zmianę, podług której brzmi on tak:

*Byleśmy tylko w drodze nie stawali.*

## KOŚCIÓŁ PANNY MARYI

W POZNANIU.

Naprzeciw kościoła katedralnego w Poznaniu, o którym już wspomniano w t. 1 str. 77 Tygodnika Ilustrowanego, wznosi się niewielki kościółek Panny Maryi *in summo*, jak go dawniej nazywano. Aby zrozumieć znaczenie tej nazwy, przedewszystkiem wspomnieć należy, iż w stronie przytykającej do kościoła katedralnego, a osobliwie w miejscu dzisiejszych przedmieść Śródky, Zawad i Zagórza, była niegdyś pierwsza siedziba miasta Poznania. Około katedry wznosił się także zamek książęcy. Być więc może iż miejsce położone około katedry i zamku, nazwali dawni mieszkańcy Poznania *in summo posnaniensi*, może dlatego, że tam najznakomitsze osoby, jak król, biskup i inni dostojnicy świeccy i duchowni, to jest czoło narodu mieszkało; lub też że ta część miasta podówczas najwyższą położoną była, gdy inne dotąd jako osobne przedmieścia nazywają się Zagórze i Podgórze. Prawdopodobniej zaś nazwa ta *in summo* złąd powstała, iż gdy pierwotne miasto założone było u zbiegu rzeki Cybiny z Wartą, przeto aby uniknąć częstych rzek tych wylewów, miejsce około zamku i katedry wywyższono ręką ludzką. Domysł ten ostatni zdają się potwierdzać dębne pale i ogromne kłody drzewa, przed niedawnym jeszcze czasem na placu tumskim wydobyte. Trzeba też przyznać, iż lubo w przeciągu ostatnich lat trzydziestu pamiętamy kilka bardzo znacznych powodzi, kościół katedralny jednak, a nawet jego sklepy, zawsze od nich były wolne.]]

Kościół Panny Maryi zasługuje głównie przez to na uwagę, że jest najstarszym zabytkiem budownictwa w diecezji poznańskiej i przechował się do dni naszych w całym swym pierwotnym kształcie, gdy późniejsze reparacje różnych innych gmachów i świątyni, zatarły w nich częstokroć wszelkie ślady średnio-wiecznego budownictwa. Dla braku dowodów trudno na pewne oznaczyć, kiedy ten kościół założono; wiadomo tylko że już w r. 1425 był kolegiatą. Rogaliński w wizycie swjej z r. 1779 pisze, że wedle dokumentu z d. 10 marca 1433 r., za biskupstwa Stanisława I Ciołka, istniały już przy tym kościele prebendy, „jak to z napisu będącego nad biblioteką tegoż kościoła widzieć można.“ Następca Stanisława, biskup Andrzej z Bnina, r. 1445 wystawił w miejsce dawniej, nową murowaną świątynię; dlatego też Długosz w żywotach biskupów poznańskich, a za nim Rzepnicki twierdzą, że kościół Panny Maryi jest dziełem tego Andrzeja, znakomitego pomiędzy biskupami poznańskimi, który jako gorliwy pasterz, a zarazem zamiłowany w budownictwie, tę i wiele innych murowanych świątyni wznosił w diecezji swojej. Toż samo zdanie podziela i Żelaszowski w wizycie swjej z r. 1695, lubo rok 1444 naznacza jako czas ukończenia budowy. W r. 1594 Łukasz Kościelecki biskup poznański kościół ten, grożący upadkiem, podźwignął, a odtąd aż do ostatnich czasów małym tylko podlegał naprawom, tak iż kształt swój pierwotny wewnątrz i zewnętrzny nienaruszenie zachował.

Co do duchowieństwa przy tym kościele, kapituła na posiedzeniu swym, nazajutrz po dniu św. Piotra i Pawła r. 1443, pozwoliła z niedalekiej złąd Głuszyny przenieść tutaj kanoników. Sam Andrzej z Bnina biskup dodał w r. 1448 kanonikat z funduszu dzieśięciu wsi, zachowując dla niego prawo patronatu swym braciom, Janowi, Piotrowi i Wojciechowi, dziećcom Bnina i ich potomkom. W trzy lata później

fundował jeszcze przy tej kolegiacie kustodyą i czterech kanoników, którą to fundacyą potwierdził papież Sykstus IV w r. 1475. W późniejszych czasach liczba duchowieństwa tej kolegiaty ciągle wzrastała, tak iż r. 1695 było przy niej trzech prałatów i 16 kanoników, prócz altarzystów. Szczupłość jednakże dochodów sprawiła, iż posady kanoników rzadko kiedy bywały obsadzone, a duchowieństwo kolegiaty trzymało, oprócz swych własnych, po kilka jeszcze beneficjów przy innych kościołach. Posiedzenia generalne kanoników odbywały się corocznie, w dniu poświęcenia nawidzenia Najśw. Maryi Panny, przyczem bywały czytane statuta kapituły, zawarte w 37 ustawach, które przekładano każdemu co miał być instalowanym. Pomiedzy niebardzo licznymi przywilejami tych kanoników wspomniemy, iż na synodzie w Poznaniu, pod biskupem Stanisławem Sitwickim r. 1689 postanowiono, aby członkowie tej kolegiaty zajmowali pierwsze miejsce po członkach kolegiaty warszaw-

w r. 1809, kiedy gmach zdawał się grozić upadkiem, zamknięto go zupełnie.

Kościół ten, pod tytułem nawidzenia Najświętszej Maryi Panny, nie był nigdy parafialnym, lecz tylko pomocniczym kościoła katedralnego, osobliwie w czasach dość częstych naprawy katedry, która po kilka razy dla grożącego niebezpieczeństwa zamykana być musiała, jak np. w latach 1498, 1622, 1772 i 1790. W czasie więc tych budowli i reperacji, przenoszono zwykle nabożeństwo z katedry do kościoła Panny Maryi.

Za naszych już czasów wazyły się losy tego kościoła pomiędzy zupełnym rozebraniem, a chwilowemi niekiedy pomysłami jego restauracyi. I tak twierdzą, że zmarły król pruski Fryderyk Wilhelm IV, będąc jeszcze następcą tronu, zachwycony starożytną tą świątynią budową, miał zamiar kazać ją odnowić; lecz chwilowy ten projekt przeminał bez żadnego skutku. Później, przy wystawieniu pomnika królom polskim Mieczysławowi I i Bolesławowi Chrobremu, zamierzono umieścić go w tym kościółku; wielki wszakże nakład na restauracyą jego, gdy ściany coraz bardziej się rysowały, odstraszył i wówczas przedsięwzięcia terażniejszego arcybiskupa ks. Leon Przyłuski, z własnych dochodów i ze składek na prośbę jego zbieranych. On zrestaurować kazał z gruntu całkiem już opuszczoną i do upadku chylącą się świątynię. Późem d. 7 września 1862 r. ks. biskup sufragan Stefanowicz dopełnił najuroczystsiej rytuałem rzymskim przepisana ceremonią konsekracyi. W dniu zaś następnym, t. j. w uroczystość narodzenia Najśw. Maryi Panny, po odświeżeniu godzin kanonicznych w katedrze, całe duchowieństwo katedralne, z arcybiskupem na czele, biskupem pontificaliter ubranym, kapitułą i professorami seminaryum, z pieśnią: „Bogarodzica dziewica“, udało się do tego kościółka, gdzie od lat kilkudziesięciu po raz pierwszy znów ta pieśń się rozległa, i odprawiono mszę wielką pontyfikalnie.

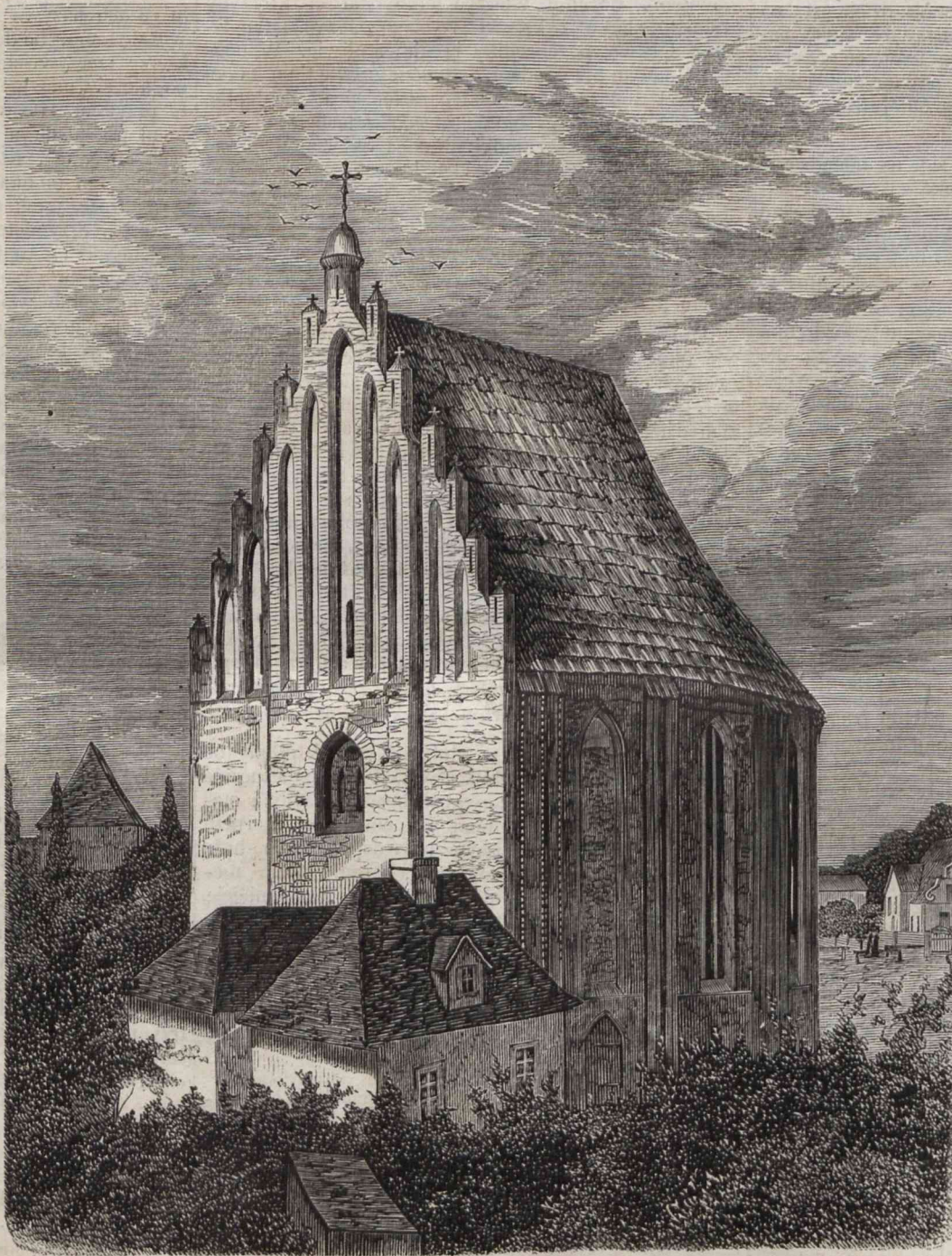
Kształt zewnętrzny kościółka pozostał i teraz w niczem niezmiennym, wewnątrz zaś siedzieć silnych filarów, żelaznemi wzmocnionych szynami, podpięrami wzniesione sklepienie. Dawniej było tu siedem, dziś tylko jest jeden oltarz, wykonany przez tutejszego stolarza Zeylanda Polaka. Dzieło to misternej roboty, w gotyckim stylu, zdobią obrazy: u góry nawidzenia Najświętszej Maryi Panny, po prawej stronie św. Wojciecha, po lewej św. Stanisława wskrzeszającego Piotrowinę, pędzla tutejszego artysty p. Sarneckiego. Żadnych innych ozdób i pamiątek ten kościół nie posiada, o-

prócz jeszcze kamienia czworobocznego na środku w posadce leżącego, z napisem iż tam pochowano kości biskupów i kanoników dawniej w sklepach katedry spoczywających, a tu w r. 1785 d. 20 października złożonych.

Dawniej był naokoło tego kościoła cmentarz, opasany dość wysokim murem, który od bardzo dawnego już czasu rozebrano. Świadczą o nim wykopywane niedawno jeszcze przy kościele trumny i kości. W fundamencie zewnątrz kościoła znajduje się wielki kamień piaskowy, o który niegdyś, według podania, pospolite ruszenie województwa poznańskiego, idąc na wyprawę wojenną, szable swe ostrzyło.

### IZBA PAŃSKA CZYLI RADZIECKA W RATUSZU KRAKOWSKIM.

Pisząc o Krakowie, kilkakrotnie wspominaliśmy o starożytnym ratuszu, który w r. 1820 ówczesny rząd



KOŚCIÓŁ PANNY MARYI W POZNANIU. (Rysował z fotografii Fabijański.)

skiej na każdym synodzie. W roku zaś 1740 Teodor Czartoryski biskup poznański nadał im wolność używania futer z gronostajów czarno nakrapianych, z kąd ich później kanonikami kozuszkowymi nazywano.

W ośmnastym wieku, w skutek ówczesnej wojny szwedzkiej, morowego powietrza i przez to upadku miasta Poznania, na którego domach fundusze duchowieństwa tego kościoła po większej części były zabezpieczone, wreszcie w skutek kilkakrotnej redukcji monety krajowej, dochody tej świątyni tak bardzo się zmniejszyły, że nawet kilku duchownych przy niej utrzymać się nie mogło, zwłaszcza gdy osobiste potrzeby duchowieństwa coraz bardziej się zwiększały. Już więc w r. 1779 ustało w tym kościele nabożeństwo ciągle i odtąd tylko niekiedy się odprawiało. W roku zaś 1805 biskup Ignacy Raczyński wcielił tę kolegiatę całkiem do kościoła katedralnego, jedną połowę jej dochodów przeznaczając dla niższego duchowieństwa, a drugą dla ubogich księży. Nakoniec

wolnego miasta, bez względu na jego starożytność i piękność budowy, lekkomyślnie skazał na rozburzenie. Z owego zabytku XIII wieku pozostała tylko wieża, która dotąd stoi odosobniona wśród rynku, jak samotnik oplakujący swe sieroctwo.

Gmach ten wspaniały zajmował niemal czwartą część obszernego rynku (1) i tworzył prawie regularny kwadrat, ścianą północną równając się z ulicą Szewską, zachodnią z Wiśnią; południowa szła w linii pozostałej wieży, wschodnia zaś wznosiła się tuż naprzeciw Sukiennic.

Budowla ta w gotyckim stylu, podobnym Sukiennicom, nie była jednolitą, lecz składała się z kilku gmachów w jedną całość złączonych. Przy ścianie wschodniej znajdował się ganek odkryty, płytami kamiennymi wyłożony, mający po obu krańcach wchodowych schodki kamienne, po których się nań wstępowało.

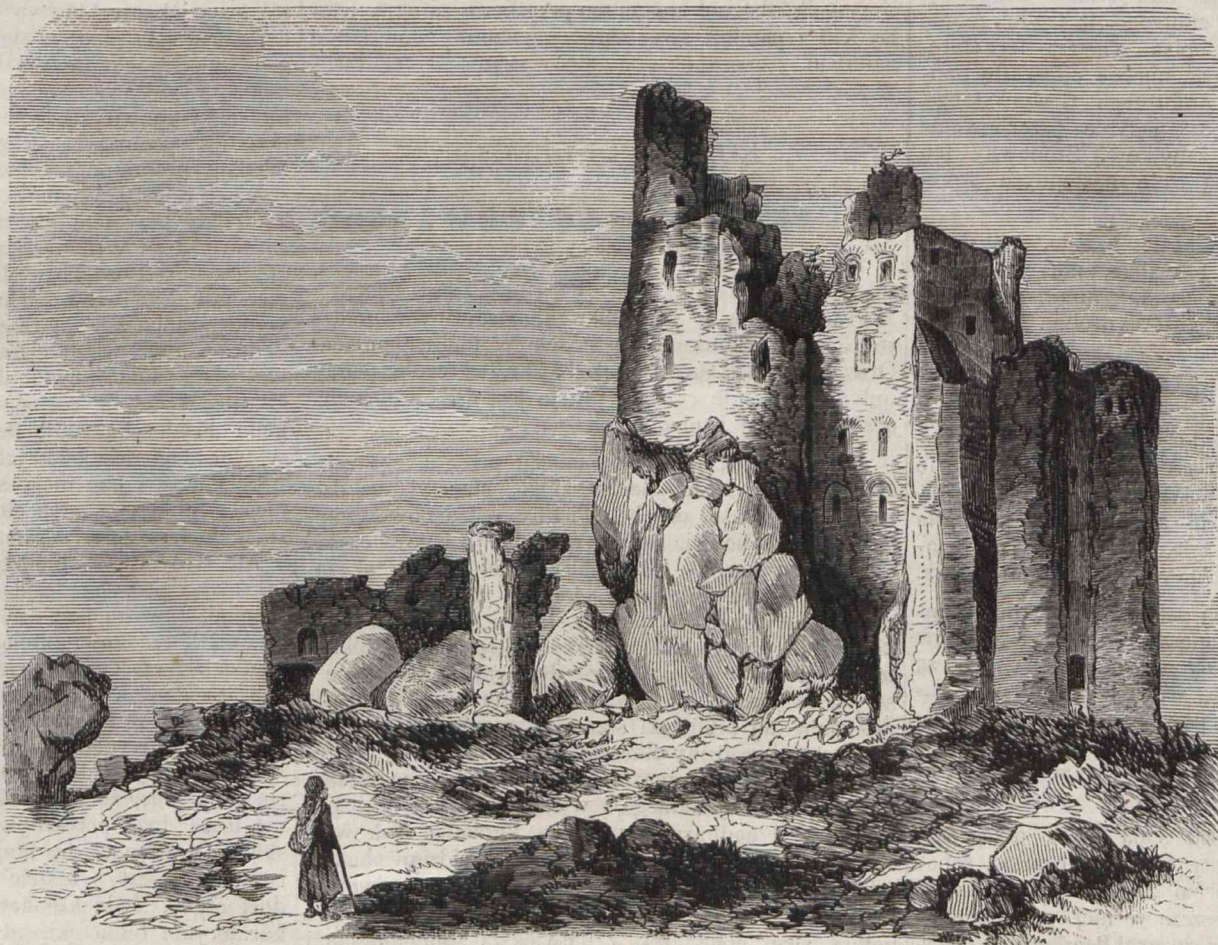
Ratusz krakowski zawierał kilka obszernych sal czyli izb, mianowicie: izbę pańską czyli radziecką, albo sądową; dalej izby: wójtowską, cechową, kupiecką; gmach królewski, przeznaczony do przyjmowania króla, gdy ratusz odwiedzał; oprócz tego śpichrze, więzienia, kabaty i piwnicę świdnicką. Śpichrzów było trzy: górny,

średni i dolny; za gospodarstwa Szwedów śpichrze te przez nich zajęte zostały. Miasto miało z nich znaczny dochód, wypuszczając je przy-

ne kabatami, oraz mały dziedziniec, na którym ścinano zbrodniarzy skazanych na śmierć przez rajców krakowskich. Było tu także więzienie zwane dłużnicą, w którym dłużników osadzano. Nakoniec znajdowało się w gmachu ratuszowym od strony zachodniej miejsce zwane *na cle*, gdzie pobierano podatki i opłaty miejskie.

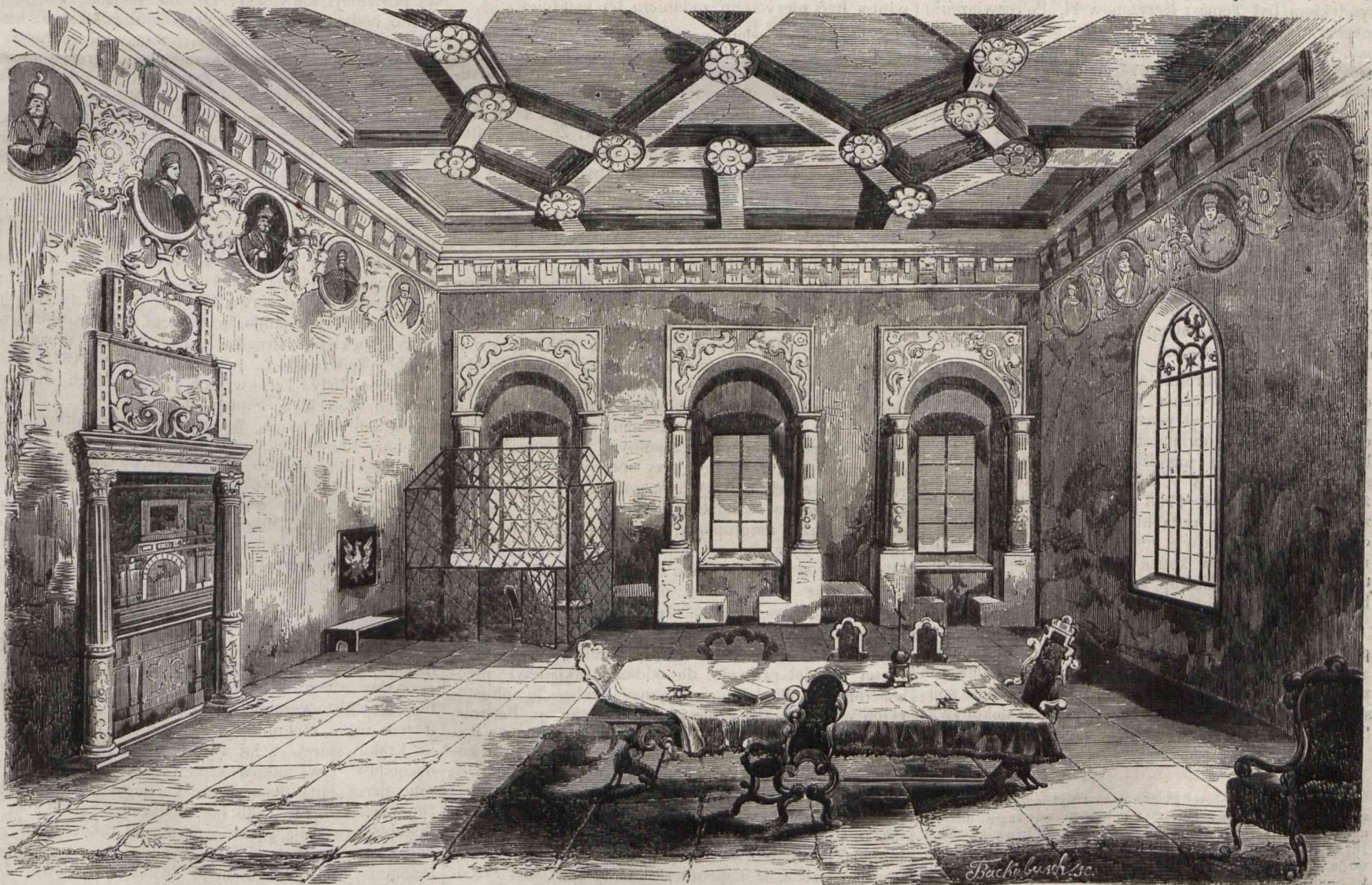
W podziemiach ratusza pod narożnikiem północno-zachodnim, znajdowała się głośnia w swym czasie piwnica świdnicka, tak zwana z powodu, iż w niej sławne piwo świdnickie szynkowano. (2). Był przywilej rajcom krakowskim wydany przez Jana Olbrachta w roku 1504, na szynkowanie tego piwa, ale tylko wyłącznie w tym miejscu. W początkach przynosił wyszynk znakomite korzyści rajcom; wszelako gdy się namnożyło szynków piwa świdnickiego, osobiście też na Kleparzu, piwnicę tę zamknięto. Później wypuszczali ją rajcy w dzierżawę mieszczanom krakowskim, którzy tu także wyszynk innych napojów odbywali.

Szynkowi temu w ratuszu pospółstwo krakowskie nadało nazwisko Indyj, a był tam z czasem pustkami, umilkły



SZCZĄTKI ZAMKU W MIROWIE. (Rysował na drzewie Kostrzewski). Zwaliska te, zdjęte z innego punktu, daliśmy już w N. 83 naszego pisma; po opis więc czytelników także odsyłamy.

watnym w dzierżawę. W jednym z tych śpichrzów urządzono w końcu wieku XVIII teatr, o czém Am-hulanki. Ratusz stanął z czasem pustkami, umilkły



IZBA RADZIECKA W B. RATUSZU KRAKOWSKIM. (Rysował z litografii Podbielski).

(1) Wiadomości o ratuszu tu podane, opierają się głównie na dziele A. Grabowskiego: *Starego Krakowa zabytki i pamiątki*, Kraków, 1850 r.

broży Grabowski dokładną wiadomość w Bibliotece warszawskiej z miesiąca lipca 1847 r. podał.

W części ratusza południowej były więzienia zwa-

(2) W podziemiach wrocławskiego ratusza po dziś dzień znajduje się wielki szynk piwa, zwany piwnicą świdnicką, co pokazuje że piwo świdnickie musiało być niegdyś sławnym na całym Śląsku i w Krakowskim.

głosy rajców, ale szynk przetrwał zle i dobre czasy i dopiero zniknął wraz z murami gmachu.

Jakkolwiek gmach ten zaledwie od czterdziestu lat istnieć przestał, tak mało po nim zostało zabytków, z taką lekkomyślnością go zburzono, iż trudno zebrać jakiegokolwiek materiały do opisu wnętrza tej starożytniej budowli. Nie znajdując nigdzie opisu izby pańskiej, udaliśmy się do p. Ambrożego Grabowskiego, któremu Kraków zawdzięcza jedynie przechowanie pamięci dawnych swoich zabytków. Szanowny ten starzec udzielił nam o owiej izbie następujących szczegółów.

„Już to przeszło pięćdziesiąt lat minęło, jak w tej sali ratusza krakowskiego bywałem, nic więc dziwnego że się podrzędne rzeczy w pamięci mojej zatarły; przyjmijcie więc chociaż te drobne wiadomości jakie zapamiętałem.

„Wszedłszy na schodki prowadzące do ratusza, była wielka sień; w niej na prawo mieszkanie hutmana czyli burgrabiego, zawiadującego porządkiem i strażą przy więźniach. Naprost wnijsia były drzwi do izby sądowej czyli pańskiej. Na środku jej stał wielki stół do obrad radzieckich, a w około tegoż zydle czyli ławy, z oparciem w tyle, a w naszych już czasach na początku teraźniejszego wieku porządne krzesła.

„Drzwi wchodowe do tej sali były piękną, kunsztowną robotą stolarską sporządzoną, a wysadzone sztukawkami drzewa; dotrwały one do dni naszych i są użyte jako drzwi wchodowe wewnątrz biblioteki Jagiellońskiej. W górze pod powałą czyli sufitem wisiały na ścianie portrety królów polskich, a była ich niemała liczba i teraz znajdują się w szkole malarzkiej krakowskiej.

„W jednym narożniku sali stała jakaś przegroda, niby klatka, z żelaznej kraty sztuczną ślusarską robotą; było to miejsce w którym siedział pisarz magistratu czyli miejski, i ja jeszcze w niej pamiętam ostatniego już pisarza, który się zwał Pączkowski. Ostatnim burmistrzem, czyli jak go zwano w nowszych czasach prezydentem, był Filip Lichocki, zmarły 1806 r., którego za długoletnie urzędowanie obdarował złotym medalem cesarz Franciszek II, za pierwszego zarządzenia Krakowa przez rząd austriacki. Ostatnim zaś syndykiem był Tomasz Krzyżanowski. Po rozwiązaniu magistratu polskiego, poszli wszyscy na emeryturę, a na ich miejsce zasiedli Niemcy; oni też owe portrety królów naszych sprzedali przez licytację i tak przeszły na własność prywatną. (1).

„Izba pańska znajdowała się na dole, nie na piętrze, a cały wyższy gmach ratusza nie był prawie zajęty i stał pustkami.

„Obicia w izbie radzieckiej były dwa, jedno z karmazynowego atlasu, drugie białe, pstre. Było także w ratuszu krakowskim niemało starożytnych zabytków, pomiędzy którymi znajdowała się wielka księga pergaminowa, w aksamit oprawna, w której spisane były prawa miejskie i cechowe krakowskie. Zawierała ona piękne miniatury malowania, przedstawiające ubiory i zatrudnienia mieszczan i rękodzielników krakowskich.“

Gmach ten kilkakrotnie ulegał pożarowi; mianowicie też w d. 2 stycznia 1632 r. ogień wybuchł w śpichrzach zniszczył prawa i urządzenia ławnicze, oraz wiele depozytów przez dłużników dla wierzycieli złożonych, tak iż urzędzenia ławnicze z pamięci spisywać musiano. W r. 1680 piorun uderzył w wieżę i zapalił ją. W r. 1703 wieżę nadwątloną wichurą znacznie pochylili, a rada miejska, obciążona egzekucją wojskową, zaledwie zdobyła się na jaką taką jej naprawę. Dopiero w końcu ubiegłego stulecia Kajetan Ignacy Sottyk biskup krakowski zupełnie ją odbudował.

Kiedy w innych krajach troskliwie czuwano nad przechowaniem starożytnych zabytków, u nas inaczej się działo. Niedosć, że Szwedzi w obydwu najazdach zniszczyli prawie wszystkie zamki i ogromnym spustoszeniem nawidzili Polskę; sami jeszcze dokonywaliśmy świętokradzką ręką dzieła zagłady. Po wszyst-

kich miastach niemieckich przechowują ratusze jak relikwie; u nas zburzono ratusz warszawski, a rząd wolnego miasta Krakowa, od nikogo nie naglony, nie mając ani poczucia piękna, ani zamiłowania rzeczy ojczyźstych, targnął się na ten przesliczny zabytek wieku XIII i pamięci swęj nazawsze słuszny zład zarzut zgutował.

## KORRESPONDENCYA

### TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Poznań, 24 marca 1863 r.

Pisaliście już w Tygodniku Ilustrowanym (tom 4 str. 31) o bibliotece Raczyńskich w mieście naszym. Otwartą ona została d. 5 maja 1829 r., od tego więc dnia upłynęło już tyle czasu, iż warto jest dziś wspomnieć o skutkach jej istnienia.

Jak wiadomo, darowana miastu przez swego założyciela Edwarda hr. Raczyńskiego, stanowi ona dziś znakomitą miastu ozdobę. Piękny pałac nowowzniesiony dla biblioteki, stoi w najładniejszej jego części, a uposażenie samej biblioteki wynosi 22,000 tal. zapisanych przez założyciela i około 250 tal. rocznie z wynajmowanych w pałacu stancji. Resztę zajmują księgozbiór i czytelnia, mieszkania urzędników bibliotecznych, oraz pokoje które Raczyński dla siebie i swych następców zachował. Naczelny zarząd czyli kuratorium tej biblioteki stanowią według statutu: jeden członek rodziny Raczyńskich, (obecnie syn założyciela Rogier Raczyński), każdorazowy marszałek sejmu prowincjonalnego, wice-prezes regencji poznańskiej i nadburmistrz miasta Poznania. Tak więc w tym składzie osób zarządzających, widzimy obecnie tylko jednego Polaka. Jakkolwiek zaś powyższym osobom nie mamy nic do zarzucenia i może nawet pełnią swój obowiązek z największą sumiennością i bezstronnem zamiłowaniem rzeczy, wolelibyśmy jednak iżby dzieło przez Polaka założone, pod okiem czysto polskiem pozostało, osobliwie gdy obok dziejów i literatury wszystkich narodów i we wszelkich językach, jednakże dzieje i literatura narodu naszego, powinny być pierwszym zadaniem tej księżnicy.

Kuratorium, celem narady w interesie biblioteki, zbiera się corocznie w d. 8 lipca, a dwóch członków na posiedzeniu obecnych, ma prawo stanowienia uchwały; w razie atoli gdyby się na jedno zgodzić nie mogli, rozstrzyga zdanie piśmienne którego z nieobecnych na témże posiedzeniu członków. Zmiana statutów ulegać ma zatwierdzeniu członka rodziny Raczyńskich i królewskiego ministerstwa. Urzędnikami płatnymi przy tej bibliotece są: bibliotekarz, który musi być z liczby nauczycieli wyższej szkoły poznańskiej, adjunkt i kasztelan, wszyscy zaś trzej powinni być urodzeni w prowincyi poznańskiej.

Biblioteka, z wyjątkiem świąt i niedziel, otwartą jest dla każdego codziennie od 5 do 8 godziny wieczorem; książki zaś pożyczać i brać ze sobą do domu, wolno tylko członkom kuratoryi. Według rozporządzenia rządowego, nakładca każdej książki wydanej w w. k. poznańskiej, obowiązany jest oddać jeden egzemplarz do tej biblioteki bezpłatnie. Przy zakupach ma być przedewszystkiem zwracana uwaga na dzieła połączone ze szczególnym lokalnym interesem prowincyi. Jak więc, przy obecnym składzie kuratoryi, warunek ten wytlumaczonym być może, nie trudno odgadnąć. Majątek biblioteki nietylko nie został w niczym uszczuplony, ale nawet przez przyrost procentów znacznie się powiększył, tak iż dzisiejszy jej kapitał wynosi podobno około 38,000 tal. Nowych książek już od lat kilku nie zakupują, a niewiem kiedy zakupywać zaczną. Zebrany początkowo przez hr. Raczyńskiego księgozbiór, wynosił około 13,000 tomów; dziś podrósł może do 30,000, po większej części z dzieł prawem do oddania zakładowi przeznaczonych. Obok tego przysłać trzeba, że ministerium oświecenia i biblioteka królewska w Berlinie, bardzo przyjacielsko postępują sobie z biblioteką Raczyńskich w Poznaniu. Znakomitsze nakłady dzieł kosztownych skarbu pruskiego wydane, przysyłane są regularnie i do Poznania, inne zaś znakomite i rzadkie dzieła bywają kompletowane. Gdy jednakże, jak to już wyżej mówiłem, w ostatnich czasach do biblioteki tej nie nie przykupywano, z załem więc wyznaczyć trzeba, iż napróżnobyś tu szukać dzieł szacownych wydanych w ostatnich latach w Warszawie lub w innych polskich miastach. Wreszcie, lubo ten księgozbiór przeznaczony jest do użytku ogólnego, ażeby skarby literatury dla każdego przystępnymi uczynić i oświatę rozszerzać, główną jednakże myślą

założyciela było, aby przyjść w pomoc młodzieży uczącej się w tutejszych wyższych szkołach. Dlatego też biblioteka otwartą jest codziennie w tych godzinach, w których uczniowie wolni są od nauk, a w czasie feryj szkolnych bywa całkiem zamkniętą. Względem ten założyciela okazuje się zresztą dosyć podrzędnym, gdyż tutejsze gimnazjum katolickie Maryi Magdaleny miało zawsze swą własną bibliotekę, a dzisiaj, obok biblioteki gimnazjalnej, istnieje jeszcze czytelnia dla uczniów, pomnażana ciągle przez dary i zakupna. Według programu szkolnego z roku zeszłego, ta ostatnia liczy 1926 tomów. Oprócz tego założono przed kilką laty przy tém gimnazjum: bibliotekę składającą się z dzieł wydanych przez byłych uczniów tegoż gimnazjum, która liczy obecnie 66 numerów. Nakoniec jest jeszcze biblioteka książek szkolnych, celem wypożyczania ich półrocznie biedniejszym uczniom. Sądźmy więc, że tutejsze gimnazjum katolickie we względnie umysłowym dostatecznym jest uposażone. O tutejszej szkole realnej i o gimnazjum ewangelickim Fryderyka Wilhelma, nie znamy wprawdzie w tym względzie bliższych szczegółów; nie wątpimy wszelako że i one mają swoje, chociaż może szczuplejsze biblioteki, gdyż obiedwie te szkoły daleko później dopiero zostały założone.

Ale wróćmy do biblioteki Raczyńskich. Założyciel jej, mając powyższe cele na myśli, starał się bardziej gromadzić ważniejsze dzieła każdej literatury i narodu, niżeli rzadkości bibliograficzne. Chociaż więc i tu spotka się czasem coś rzadkiego, daleką jest zawsze tutejsza księżnica pod tym względem od biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie; nawet mniej rzadkich dawniejszych wydań z literatury i dziejów polskich wiele w niej brakuje. Słusznie wprawdzie nasuwa się tu uwaga, że biblioteka Raczyńskich w Poznaniu, nie może być porównywaną z biblioteką Jagiellońską w Krakowie, bo liczy zaledwo lat kilkadziesiąt istnienia i jest wreszcie tylko przedsięwzięciem jednej osoby. Jednakże bardzoby życzyć należało, aby kuratorium biblioteki, gdy znów zakupy książek rozpocznie, przedewszystkiem postarało się o nabywanie brakujących w niej dotąd dzieł z literatury i dziejów polskich, dawniejszych i najnowszych; sądzimy bowiem iż to miał założyciel biblioteki na celu, rozporządzając aby nabywać dzieła z miejscowością tej prowincyi największy związek mające.

Nie będziemy wylizywać, co się już rzadkiego z książek w tej bibliotece znajduje; wspomniemy raczej o rękopismach, w które ona dosć jest bogatą. Znajdujemy tu autografy listów Zygmunta Augusta, pisane w latach od 1531 do 1571 do Mikołaja Czarnego Radziwiłła i brata jego stryjecznego Mikołaja Rudego. Kopie listów tegoż króla do Łaskiego wojewody sieradzkiego, do Mikołaja Rudego Radziwiłła, do Izabelli królowej węgierskiej i t. p. Dalej autografy listów Stefana Batorego do Mikołaja Radziwiłła zwanego sierotką i kopie listów tegoż króla do Mieleckiego wojewody podolskiego. Listy oryginalne Zygmunta III do Radziwiłłów, od roku 1587 do 1647. Listy Anny Jagiellońskiej, Stefana Batorego, Zygmunta III, Anny Austriackiej, Władysława IV, Cecylii Renaty żony jego, Karola Ferdynanda królewicza, książąt Olelkowiczów, Sluckich, Ostrogskich, Zborowskich, Wiśniowieckich i Tenczyńskich, w latach 1567 do 1618. Własnoręczne listy Tarnowskich, Działyńskich, Łaskich, Barzych, Potockich, Stefana Czarnieckiego, Lubomirskich, Jabłonowskich, Morsztynów, Grzymułtowskiego, Bohdana Chmielnickiego i Radziejowskiego. Listy oryginalne Radziwiłłów i Sapienhów do Chodkiewiczów, w latach 1624 do 1626, Mikołaja Czarnego Radziwiłła do różnych osób: dalej Mikołaja Mieleckiego, Jana Zamojskiego, Mikołaja Buczackiego, pisywane do Radziwiłłów w latach 1567 do 1596. Krzysztofa Radziwiłła hetmana polnego litewskiego listy o wojnie inflanckiej, pisane do Zygmunta III i różnych w r. 1620. Nakoniec znajdujemy tu jeszcze listy cesarzów, królów, elektorów, arcyksiążąt i książąt różnych udielnych, pisywane do Radziwiłłów i kardynała Radziejowskiego. Listy te tworzą 15 jak dłoń grubych zeszytów autografów i są niezmiernie ważnym materiałem historycznym. Oprócz listów, znajdujemy tu jeszcze różne rachunki, jak: Seweryna Bonara żupnika krakowskiego z lat 1525 do 1527, dotyczące się dochodów i wydatków królewskich z r. 1558, złożone przez Jana Bonara podskarbiego w. koronnego; żup wielickich z r. 1533, bocheńskich z r. 1512 i t. d. Rękopis zawierający różne czynności rokосу Zebrzydowskiego, przedstawiający wypadek ten w całkiem innym świetle, jak go dotąd historycy uważali. Pagniryk historyczny Tarnowskich przez Gaspra Siemka. Życie Tomasza Zamojskiego przez Stanisława Żorawskiego, rękopis z początku 17 wieku. Dwa rękopisma poezyj Andrzeja Krzyckiego z 16 wieku. Rękopis historyi Długosza z początku 17 wieku. Memo-

(1) Wizerunki królów polskich starożytnego malowania, w izbie radzieckiej znajdujące się, zakupił od rządu austriackiego na licytacji Pięniątek podkomorzy lwowski. W r. 1817 nabył je od niego senat miasta Krakowa; później oddano je do szkoły malarzkiej, znajdującej się dotąd przy szkole technicznej. Dwa z nich, ksztątu poziomo - podłużnego, przedstawiają w półpostaciach książąt polskich, na jednym: Lech I, Lech II, Wizimir, Krakus, Popiel I, Popiel II; na drugim: Lech III, Wanda, Lech IV, Ziemowit, Przemysław. Jest tam także 19 wizerunków królów polskich, począwszy od Władysława Łokietka, aż do Augusta III, w popiersiach naturalnej wielkości. (A. Grabowski, Starego Krakowa zabytki.)

riale rerum gestarum in Polonia, ab anno 1632 ad 1654, autore Alberto Stanislao Radziwillo. Lauda średzkie, gdzie się odbywały sejmiki wielkopolskie, od końca 17 wieku do Stanisława Augusta. Kilkadziesiąt woluminów rozmaitych akt publicznych, jak dyaryuszów sejmowych, listów treści historycznej, opisów bitew, poselstw, synodów katolickich i protestanckich. Nakonec są jeszcze rękopisma teologiczne na pergaminie, przechowane od 13 wieku.

Bije wreszcie godzina piąta wieczorna, wejźmy więc do sali czytelnej. W sali tej, średniej wielkości, w zimie dobrze opalonej i świecami oświetlonej, (choć całe miasto, wszelkie miejsca publiczne i sklepy kupieckie oddawna oświetlane są gazem), znajdujemy stół długi, a przy nim trzech urzędników bibliotecznych, uprzejmych i skorych do podania natychmiast żadanego dzieła, wreszcie inkaust i papier dla każdego z czytających do dowolnego użytku. Z uderzeniem oznaczonej godziny, włącza się do sali liczne, czekające już w sieni grono studentów, tak iż dość często wszyscy przy owym wspólnym stole pomieścić się nie mogą. Żądane przez młodzież dzieła zwykle dosyć są zwyczajne, po większej części tłumaczenia autorów, którzy na następny dzień w klasach czytani być mają, lub też powiastki, a nawet romansiki w nowszych czasach wydane. Jeżeli pojawi się w czytelni ktoś starszy, poważniejsze mający może na celu badania, w największej nawet cizbie uprzejmi urzędnicy biblioteki wynajdą zawsze dla niego miejsce, lecz często ujrzy się tak ścisniętym, iż za najmniejszym poruszeniem albo sam daje, lub odbiera od sąsiada szturchańce. Trzeba więc siedzieć skurczonym, z łokciami jaknajbardziej przybliżonymi do ciała, cichutko i spokojnie, z jaknajmniejszą liczbą książek. Tymczasem około wpół do siódmej jeden z uczniów oddaje czytana przez siebie książkę, żegna się i odchodzi. Na to hasło, jakby na komendę, wychodzą wkrótce i inni, a przy obszernym stole zostaje może czterech do pięciu czytających. Wtenczas dopiero poważniejszy badacz swobodnie się rozsiada, otacza się otwartymi księgami, czyta i porównywa, —gdy wtém wybija nieszczęsna godzina ósma, posiedzenie czytelne się kończy i pozostali salę opuścić muszą. Ztąd też zapewne pochodzi, iż oprócz uczniów gimnazjalnych, mało kto do biblioteki Raczyńskich uczęszcza. Nie brakuje zaś w mieście naszym pracujących w różnych gałęziach nauk i wiadomości, którzy albo często pozbawieni są potrzebnych książkowych źródeł, albo szukac ich muszą u znajomych, lub wreszcie biorą je teraz z biblioteki towarzystwa przyjaciół nauk, która, choć nieliczna jeszcze, może jednak w niejednym już przedmiocie udzielić pomocy, a ciągle przez dobrowolne dary bywa pomnażana.

Zachodzi więc wielka wątpliwość, czy biblioteka Raczyńskich w Poznaniu, z takim nakładem wzniesiona, odpowiada swemu celowi, czy jest we względzie naukowym tym ważnym i dobroczynnym zakładem dla miasta i okolicy Poznania, jakimby rzeczywiście być mogła? My o tém pozwolimy sobie wątpić, a nawet wynajemy iż dla nas jest ona martwym tylko kapitałem. Prócz może słabiej pomocy jaką niesie uczniom gimnazjalnym, którzyby z pewnością na innej drodze poradzić sobie umieli, nie wpływa biblioteka pod żadnym względem na rozkrzewianie nauk pomiędzy mieszkańcami naszymi.

Główną przyczynę złego, zdaniem naszym, szukać należy najprzód w tém, iż dzieł żadnych pracującym do domu się nie wypożycza. Nie rozbierajmy co się pod tym względem dzieje w innych znakomitych zagranicznych księżnicach; dość nam będzie wspomnieć, że biskup Załuski, zakładając swą wielką bibliotekę w Warszawie, uczynił ją nie tylko publiczną, ale także postanowił, iż te znakomite naukowe skarby każdemu chcącemu z nich korzystać dla większej wygody wypożyczane być mają. Nie przeczymy że jak wszędzie, tak i przy wypożyczaniu książek, powstać mogą niektóre niedogodności, a nawet czasami i straty. Doświadczał już tego tenże sam księgozbiór Załuski, a nawet w r. 1773 biskup wstrzymać musiał pożyczanie książek. Wiadomo dalej że po śmierci założyciela, gdy kommissya edukacyjna wzięła pod swój zarząd tę bibliotekę, przez rozpoczęte znów wypożyczanie książek ponosiła nowe i znaczne straty, gdyż zdarzało się że dostojne nawet osoby, pożyczwszy kosztowne dzieła, nie wstydziły się wyrzucić z nich rycin i takowe w ramy za szkło oprawiać. Kommissya więc w skutek tego ujrzała się zagnana do wydania rozporządzenia, mocą którego niewolno było pożyczać żadnych ksiąg rzadkich i rękopisów, inne zaś wszystkie książki rozdawano do domów tylko za złożeniem w gotówce podwójnej wartości pożyczonych dzieł i z wyznaczeniem terminu oddania, po upływie którego, w razie niezwrócenia, najdalej w kwartał, także dzieła z pieniędzy zastawnych za-

kupowane być miały. Tak się działo na końcu zeszłego wieku, wśród ogólnego moralnego rozprężenia, kiedy znaczna część mieszkańców kraju poważniejsze jeszcze i świętsze przedmioty za nie sobie miewała.

Te jednak smutne przykłady odstraszać dziś nie powinny. Owszem, należałoby koniecznie wypożyczać książki, czy za kaucyą, czy też w skutek gwarancji moralnej; biblioteka bowiem publiczna, przez ułatwienie dopięro użytku z niej każdemu w najrozleglejszych granicach, osiąga swe przeznaczenie i staje się ogniskiem oświaty. Wreszcie pamiętajmy i o tém, że księgarze za niewielkim zastawem wypożyczają wszystkie książki swym czytelnikom, a więc straty ich nie muszą być wielkie.

Drugą niedogodność w bibliotece Raczyńskich stanowi czas za krótki, bo tylko trzygodzinny, codziennie przeznaczony dla publiczności do czytania, i to jeszcze w godzinach jak się zdaje wyłącznie dla uczniów gimnazjalnych przeznaczonych. Inne biblioteki polskie, mające tylko bardzo szczupłe i niepewne dochody, daleko większej w tej mierze udzielają lub udzielają jeszcze czytelnikom swoim swobody. Tak n. p. biblioteka polska w Paryżu, powstała w roku 1839 i utrzymywana jedynie kosztem kilku towarzystw, które na ten cel w 1843 roku składały tylko 1200 fr., otwarta była codziennie od 12 do 4 godziny z południa, z wyjątkiem świąt, niedziel i czwartków. Inna biblioteka polska w Wersalu, otwarta była wówczas codziennie w godzinach przedpołudniowych, z wyjątkiem także świąt i niedziel. Jeżeli się nie mylimy, pomyślano już także i w bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie o przedłużeniu godzin czytelnych. Skoro więc zarząd biblioteki Raczyńskich w Poznaniu uzna te niedogodności i zaradzając im zmieni swe statuta, wtenczas dopięro skarby naukowe zamknięte w tej księżnicy rozleją się szeroko i wtenczas uczujemy pożytki, jakie z daru szanownego jej założyciela wypłynąć miały.

## PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

10 kwietnia.

Ferye parlamentowe, przedewszystkiem zaś, święta wielkanocne, wywołały ogólną w dziennikarstwie ciszę. Nawet ruch wyborczy, który przed kilku dniami żywo się objawiał w Paryżu, przycichł zupełnie. Komitety wyborcze odroczyły się na miesiąc, zapewne w skutek przedłużenia posiedzeń ciała prawodawczego, które zająć się ma roztrząsaniem bardzo ważnych projektów, dotyczących wewnętrznej administracji cesarstwa. Wiadomości z Meksyku skape i niestanowcze. Osoby towarzyszące baronowi Wagner konsułowi pruskiemu, który zmuszony był opuścić Meksyk, podają do gazet amerykańskich niektóre szczegóły o Puebli i Meksyku. Ogólnie twierdzą, że Meksykanie posiadają 17,000 piechoty i 7000 jazdy w Puebli, o bok niemalżej liczby dział obłężniczych i polowych. Prace obronne dokonywane są na wielką skalę. Jedną tylko okoliczność przyjąć może w pomoc mężu francuzkiemu:—żołnierze meksykańscy źle odziani, źle karmieni i źle płatni, nie okazują wielkiej ochoty do boju. W samym Meksyku Juarez fortyfikuje miasto rowami i barykadami, gotując się do rospaczej walki; pomimo to wszakże utrzymują, że los Puebli rozstrzygnie o losie Meksyku, zwłaszcza iż według obiegających pogłosek, generał Forey otrzymać miał rozkaz zawarcia pokoju i wejścia w układy z Juarezem zaraz po zdobyciu Puebli. Wyznać jednak należy, iż dzienniki urzędowe nie potwierdziły dotąd tej wiadomości. Nieporozumienie pp. Fould i Magne zakończyło się pozostaniem pierwszego przy tece ministerium skarbu. Cesarz Napoleon, w liście pisanym do p. Magne, dziękuje mu za gorliwe wypełnianie obowiązków ministra bez wydziału i mianuje go członkiem rady tajnej.

Hrabia Arese powrócił do Turynu z Paryża. Dzienniki wiedeńskie zapewniają, że w skutek narad jakie hrabia miał z cesarzem Napoleonem, kwestya włoska w nową wejdzie fazę. Przypuszczają, że hr. Arese obejmie wkrótce ministerium spraw zagranicznych. P. Farini, b. prezes gabinetu włoskiego, cierpi pomieszanie myśli. Izba zając się ma wyznaczeniem mu dożywotniej pensji, w formie nagrody narodowej; p. Farini bowiem w niezamierzonym znajduje się stanie. Niepokojące pogłoski krążyły o zdrowiu ojca św. Wieści te widocznie nacechowane są przesadą; dzienniki bowiem donoszą, że papież celebrował sam w kościele św. Piotra podczas świąt wielkanocnych i udzielił błogosławieństwo *urbi et orbi*. Ztém wszystkiem dzienniki wątpią, aby nawet śmierć Piusa IX mogła wpłynąć na wycofanie załogi

francuzkiej z Rzymu; przeciwnie, utrzymują że rząd francuzki skorzystałby z wstąpienia na tron nowego papieża i pogodziłby Rzym z Włochami, zostawiając wszakże wieczne miasto w rękach władzy świeckiej papieżów.

Dzienniki zajmowały się w ostatnich czasach podróżą sułtana do Egiptu, twierdząc że poseł angielski skłoni tureckiego władzę do zaniechania tego zamiaru. Tymczasem depesza z Aleksandryi z d. 7 kwietnia zawiadamia, że sułtan wpłynął do portu tamecznego z siedmiu okrętami wojennymi. Podróż padyścha do Egiptu niepokoi wiele dyplomacyą angielską, która nie pojmując celu tej wycieczki i niechętnie spogląda na niezmiernie wydatki i ciężary, jakie z tego powodu na skarb turecki spadną. Sir Henri Bulwer podejrzewał nawet sułtana, że jedynym celem tej podróży jest osłabienie powagi wice-króla Izmaela w oczach jego własnych poddanych. Poseł angielski czynił więc niesłychane lecz bezskuteczne wysilenia, aby odwieść sułtana od podróży. Okoliczność ta, według dzienników angielskich, wskazuje że sułtan pragnie uwolnić się od przeważnego wpływu Anglii. Jeden z dzienników austriackich twierdzi, że książę serbski miał zaraz udać się osobiście do Konstantynopola, dla złożenia holdu sułtanowi i objaśnienia się w niektórych kwestiach; ale rady dyplomacyi powstrzymały go od tego kroku. Odwiedziny w Belgradzie księżny Darinki, wdowy po zmarłym księciu Czarnogóry, miały cel polityczny. Powiadają, że była mowa o przysposobieniu księcia Mikołaja za syna przez księcia Michała serbskiego, w celu złączenia w przyszłości Serbii z Czarnogorą. Usiłowania te nie powiodły się.

Wręczenie Fr. Deakowi albumu z portretami członków ostatniego sejmku peszteńskiego wykazuje, że dążenia centralistyczne p. Szmerlinga nie znajdują w Węgrzech przychylnego odgłosu. Dziennikarstwo austriackie z zalem odzywa się o tym kroku, twierdząc że Węgrzy nie pojmują dobrze swego stanowiska do ogółu monarchii. Pisma węgierskie zaprzeczają wieściom o dymissji hr. Apponyj, ale rzecz ta nie ulega wątpliwości. Posada sędziego kuryalnego pozostać ma wakującą, aż do zwolania sejmku węgierskiego, co w każdym razie nie tak prędko nastąpić może. Wysła w Lipsku u Brockhousa broszura pod tytułem: „Zur Krisis in Ungarn,“ której autor, nazywając siebie „bezstronnym“ podaje środek rozwiązania kwestyi węgierskiej. „Jedynym środkiem porozumienia się z Węgrami, powiada autor, jest: zwolanie reprezentantów chorwackich i siedmiogrodzkich na sejm węgierski.“ Wątpić należy aby p. Szmerling przyjął tę zasadę za podstawę swych działań.

Wszystkie prawie dzienniki europejskie winszują zgromadzeniu narodowemu w Atenach, że tak spieszenie ogłosiło księcia Wilhelma duńskiego królem greckim. Morning Post ponawia obietnicę, że Anglia stanowczo odstąpi wyspy jońskie, w skutek czego nowy król liczyć będzie 250000 poddanych więcej, niż ich miał król Otto, a dochód państwa pomnoży się o kilka milionów. France zapewnia, że rodzina księcia Wilhelma przyjęła ofiarowaną mu koronę grecką, pod warunkiem, że mocarstwa przyczynią się do zawarcia i zagwarantowania nowej pożyczki i do wyznaczenia stosownej listy cywilnej dla przyszłego króla. Podobno Anglia podjęła się sama jedna wykonać te warunki.

Wszystkie wiadomości o mniemanych zwycięstwach i korzyściach odniesionych przez stany północne, zostały odwołane. Wzięcie Yazoo City, zdobycie transportów południowych, oraz zabranie 7000 jeńców, wszystko to okazuje się bajką. Pułki murzyńskie, utworzone przez prezydenta Lincoln'a, zostały pobite przez separatystów; dwa oddziały nawet dostały się do niewoli. Sprawa północnych stanów chyli się ku widocznemu upadkowi.

(Ind. Bel. Schles. Ztg. Jour. des Deb. Constitut. France).

**Ostatnie depesze.** Drezno 8 kwietnia. Dzisiejszy Dresdner Journal w korespondencji z Wiednia zapewnia, że poseł austriacki w Berlinie hr. Karolyi, według ostatnich rozporządzeń, pozostanie na swém stanowisku.

Petersburg 7 kwietnia. Towarzystwo rossyjskie otrzymało koncesyją na budowę kolei żelaznej z Kijowa do Odessy, długiej na 647 wiorst, z dwiema bocznymi liniami, każda dłuższa nad 300 wiorst. Kapitał zakładowy 55 milionów rubli; państwo zapewnia 5%.

Paryż 7 kwietnia. Monitor donosi że admirał Jurien de la Graviere powołany został do Francji, siły bowiem morskie w Meksyku nie usprawiedliwiają obecności w tamtych stronach oficera tak wysokiej rangi.

Turyn 6 kwietnia. Król wyjeżdża do Florencji, w towarzystwie prezesa rady ministrów. Młodszy syn królewski, książę Amadeusz sabaudzki, mianowany obecnie generałem, towarzyszy ojcu. Król zabawi we Florencji kilka tygodni.

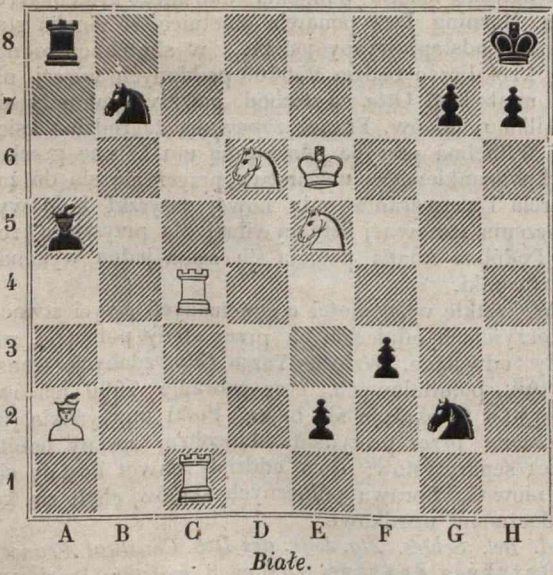


BYŁY KOŚCIÓŁ ŚW. JÓZEFA W POZNANIU. (Rysował z fotografii Fabijański).

**SZACHY.**

**ZADANIE CL.**

Białe zaczynają i dają mat za piątym posunięciem.  
Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 149.

- |                        |                           |
|------------------------|---------------------------|
| <i>Białe.</i>          | <i>Czarne.</i>            |
| 1) A 3—C 5 biorą . . . | 1) A 4—A 3.               |
| 2) C 5—C 7 . . . . .   | 2) A 3—A 2.               |
| 3) C 7—B 7 . . . . .   | 3) A 2—A 1 (wieża).       |
| 4) A 7—A 6 † . . . . . | 4) A 1—A 6 biorą.         |
| 5) B 7—C 6 † . . . . . | 5) A 6—C 6 biorą.         |
| 6) B 5—C 4 † . . . . . | 6) C 6—C 4 biorą † i mat. |

Gdyby czarne w trzecim posunięciu zamieniły chłopa A 1 nie na wieżę, lecz na konia albo królową, to przyspieszyłyby rozwiązanie o jedno posunięcie. I tak:

- |                        |                           |
|------------------------|---------------------------|
| 4) A 7—A 8 . . . . .   | 3) A 2—A 1 (koń).         |
| 5) D 3—C 5 † . . . . . | 4) A 1—B 3.               |
| 4) A 7—A 6 † . . . . . | 5) B 3—C 5 biorą † i mat. |
| 5) B 5—C 4 † . . . . . | 3) A 2—A 1 (królowa).     |
|                        | 4) A 1—A 6 biorą.         |
|                        | 5) A 6—C 4 biorą † i mat. |

**BYŁY KOŚCIÓŁ ŚW. JÓZEFA W POZNANIU.**

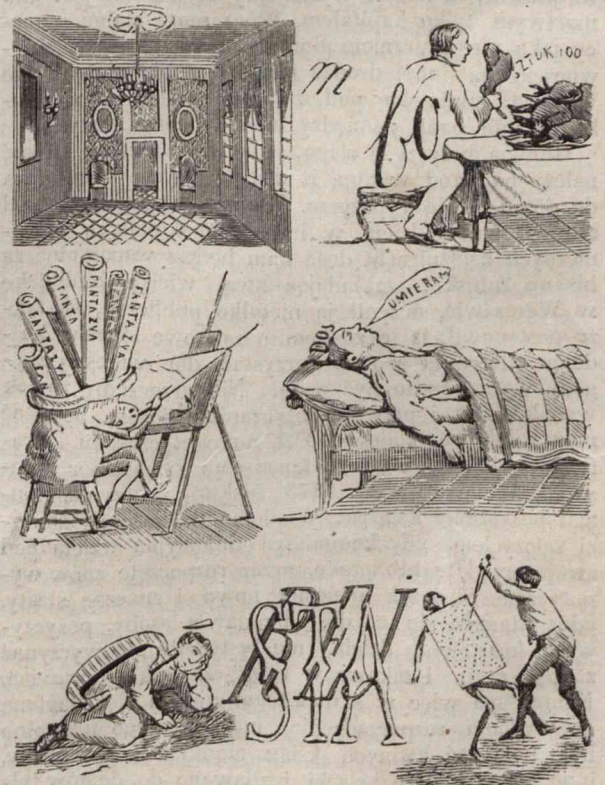
Załączona rycina przedstawia od strony miasta kościół i klasztor dawniej św. Józefa karmelitów trzevizzkowych, dziś zamieniony na ewangelicki garnizonowy; należące zaś do niego gmachy klasztorne obrócono na lazaret wojskowy. Gmachy te stoją na małej wyniosłości, przy placu dawniej św. Józefa, dziś działowym zwanym.

Na tym miejscu stał dawniej kościół braci czeskich, który studenci jezuitcy wraz z pospółstwem d. 3 sierpnia 1616 r. z ziemią zrównali. Kiedy zakon tych karmelitów do Poznania przybył, niewiadomo. Najpierwsza o nim wzmianka jest z r. 1618, gdy Elżbieta Mikanówna i opiekun jej Jakub Grodzicki sprzedali tym karmelitom przed urzędem burmistrzowskim ogród około placu, na którym stały poprzednio zabudowania kościelne braci czeskich. Niewiadomo także jakim sposobem i prawem ci karmelici przeszli do posiadłości po braciach czeskich. Dość że wystawili w tym miejscu kościół, którego trzy części, według napisu na nagrobku w kościele dawniej będącego, Wojciech Konarzewski swoim nakładem miał wybudować. Wzniesli także zakonnicy klasztor, którego obwód przyłączaniem sąsiednich domów i placów coraz bardziej się rozszerzał. Przy końcu zeszłego wieku wybuchnął ogień wewnątrz klasztornych gmachów, a po tym pożarze kilku zakonników utraciło życie, kilku zaś innych odważniejsi mieszkańcy przedmieścia św. Wojciecha zaledwie z płomieni wydobyć zdołali. W r. 1803, za czasów Prus południowych, zniesiono ten klasztor i przerobiono na lazaret wojskowy, kościół zaś przeznaczono z początku na skład słomy i siana dla wojska, a w r. 1822 urządzono go na kościół garnizonowy ewangelicki.

Klasztor ten utrzymywał niebardzo znaczną liczbę zakonników. W czasie wizyty r. 1781 było tu 12 księży i 8 braciszków. Przed odebraniem tego kościoła, były tu tylko dwa nagrobki: pierwszy z czarnego marmuru Stanisława Korzbok ze Strikowa Strikowskiego, stolnika województwa poznańskiego, pokojowca króla Władysława IV, zmarłego d. 6 czerwca 1669 r. Drugi nagrobek był w murze naprzeciw ambony, także z czarnego marmuru, z dwiema kulami marmurowymi u wierzchu. W środku tego nagrobku była nisza w marmurze, w której spoczywała osoba

w zbroi, wyrobiona z gipsu, z napisem iż to grobowiec wyżej już wspomnianego Wojciecha z Konarzewa Konarzewskiego, w Węgrzech przeciw Turkom wysłużonego i towarzysza Zygmunta III, zmarłego roku 1668. Ten grobowiec pozostał dotąd w przysionku kościelnym, gdy pierwszy przeniesiono do pobliskiego kościoła św. Wojciecha.

**REBUS.**



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 184.

Dobry bywa chleb, gdy niema kołacza.

Dodatek).

## Franciszek Bieliński.

(Dokończenie).

Dawniej, przed Bielińskim, sądy kryminalne marszałkowskie odbywały się tylko na razie, to jest kiedy był winowajca godzien śmierci. Ale skoro łaskę wielką wzięli Bieliński, rzadko kiedy wakowały, bo zawsze było komu i kogo sądzić; mówiono o marszałku, że rączy na tamten świat wyprawia ludzi, którzy się pod sąd jego dostali. „Więc że po całym kraju, opowiada Kitowicz, słychać tym darem sprawiedliwości, przetoż wożono do jego sądów kryminalistów z najodleglejszych polskich prowincyj.“ Powód był prosty. W innych grodach sprawy wlokły się długo i kosztowały wiele stony, do tego sprawiedliwość nie była pewna, mianowicie kiedy obwinionym był kto z panów, albo choćby Żyd, bo za panem stawała rodzina, za Żydem wszyscy inni Żydzi, którzy zdobywali się na okup nawet najdroższy, aby tylko wyzwolić swojego od śmierci. U Bielińskiego wszystko to nie nie popłacało, i pod tym względem miał zasługę. Jedną królową, pani niezmiernie pobożna i miłosierna, psuła mu sprawiedliwość, bo często wносиła instancją za obwinionymi, obiecywała za wielu poprawę, płakała, pisała, aż i wyprosiła. Dlatego Bieliński uwijał się zaraz ze swemi ofiarami i w głębokiej tajemnicy przed królową. Zdarzało się że go zdradzono. Wtedy zamykał się w gabinecie, a kiedy królowa wyczerpała już miarkę jego cierpliwości, poprościu jej prośby odrzucał. Karząc tak wszystkich, i tych co władzy jego ulegali i obcych, łamał sam prawo, którego tak strzegł pilnie, bo w stolicy tylko i w trzechmiłowym jej obrębie mogła wymierzać sprawiedliwość łaska wielka. Oczywiście, nie było dla niej tak wiele kryminalnego zajęcia za innych marszałków. Ale Bieliński ciągle sądził; nikt mu zarzutu nie robił, bo samby się może niepotrzebnie na zemstę naraził i dlatego komu marszałek kazał zdjąć głowę, to przepadło. Najwięcej rozwijał tej surowości za pobytu króla w Warszawie, wtedy i wiaterek nawet nie śmiał poruszyć spokoju ulic. Gdy króla nie było, wyjeżdżał nieraz do Otwocka w sąsiedztwo, ale zostawiał w Warszawie swoich namiestników, którzy plany jego wiernie wykonywali. Lato zwykle przepędzał w Otwocku. Więźniów nieszlachcę, niedekretowanych, odsyłał Bieliński na ratusz. Nielepszy ich tam los czekał, póki żył Lupta, „ustawiczny prezydent miasta.“ Lupta, był to w surowości drugi Bieliński.

Postać marszałka tém surowiej z przeszłości na nas patrzy, że tym postrachem jakim przerażał, panował w Warszawie bardzo długo, przez lat trzydzieści, to jest przez całe panowanie Augusta 2go. Bo nim wielkim marszałkiem został, nieraz jako nadworny, zastępował w stolicy Mniszcha. Dobierał sobie sędziów tak surowych jak był sam, ztąd rzadko do niego szła appellacja; wyroku sędziów poprawiać nie było potrzeba. (Kitowicz t. II str. 59, 64).

Niespokojne, burzliwe usposobienie umysłu marszałka dawało się nieraz uczuć całej rzpltej. Stanał Bieliński na czele strasznej wojny, jaką szlachta toczyła z duchowieństwem o dziesięciny. Pierwsze do niej hasło dał, według umowy, Szamocki skarbnik warszawski, sławny patron trybunalski. Pozwany od swego plebana, według dawnego zwyczaju, do konsystorza warszawskiego o dziesięcinę wytyczną, zapozwał nawzajem księdza do ziemstwa za napaść, według nowego zwyczaju. Za jego przykładem, wszyscy ziemianie warszawscy i czerscy pozapozywali swoich proboszczów do ziemstwa. Konsystorz na szlachtę nie stawiającą na sądach duchownych, rzucił kłatwę; ziemstwo na księży cisnęło naodwrot kondemnaty. Ze sprawy czysto prywatnej, wywiązała się publiczna i walka była o zasady. Ziemie czerska i warszawska zaniósł uroczysty manifest przeciw proboszczom domagającym się dziesięcin i przeciw konsystorzowi, że sobie prawo wyrokowania w tej mierze przywłaszczają. Na tym manifestie podpisał się pierwszy Bieliński, jako najmajętniejszy obywatel ziemi czerskiej. Szlachta w płockim poszła za tym ogólnym popędem i rozpoczęła także spór z duchowieństwem. Obok marszałka w. znalazł się kanclerz w. Jan Małachowski, który ze szlachtą trzymał za jedno.

Posypały się manifesta po grodach, skargi, listy, druki; po zjazdach szlacheckich tylko mówiono o wojnie z duchowieństwem. Sammarszałek wydał „do województw i ziem w czasie sejmików poselskich odezwę.“ (W Warszawie 1752 r.)

Zmieniła niedługo cały swój charakter ta wojna. Rozpoczęta na hasło, żeby się uwolnić od obowiązków względem duchowieństwa, rychło przeszła za te granice. Szlachta gwarzyła, że ją powołują do niewłaściwych sądów duchownych, których znać nie chciała; dla niej były tylko ziemstwa i trybunał. Prymas Komorowski przyjmować musiał raz poselstwo ze skar-

gami. Gdy pomyślniej odpowiedzi nie dał, szlachta sprawy swoje wносиła przed wyższą instancją, do trybunału.

Nareszcie Bieliński sam czynnie wystąpił. „Zniósłszy się, jak powiada, z pany senatorami i ministrami,“ władzą marszałkowską zakazał patronom, ażeby nie wносили spraw tych do nuncyusza i konsystorza, które należą do grodów, ziemstw, trybunałów lub assessorij. I wymieniał te sprawy. Rozpoznawanie prawa patronatu lub przywilejów królewskich na posady duchowne, działy między bracią, naznaczanie posagów, wyrokowanie o prawności testamentów i zapisów, wydzielanie i przysądzenie gruntów ziemskich kościołom, wszystko to do sądów świeckich ma należeć. Sypania kopców granicznych w dobrach nawet duchownych, winien dopełniać sąd świecki. Poddani są majątkiem całej rzpltej, więc i prawowanie się o nich tylko przed sądami świeckimi może się odbywać. Spór o dziesięciny pieniężne rozstrzygną grody, o snopowe ziemstwo i trybunały.

Bieliński polecił instygatorowi kor. Krajewskiemu, żeby pozywał nieposłusznych przed straszną władzą marszałkowską.

Jeszcze nie koniec. Już od dawnego czasu trwały u nas spory władz narodowych z nuncyaturą, która nawet i arcybiskupom prymasom wiele się naraziła. Teodor Potocki chciał znieść nuncyaturę. Marszałek Mniszech księdzu Santiniemu nuncyuszowi, jurysdykcji raz nie pozwolił. Bieliński przypomniał to sobie. Nie było podówczas w Polsce nuncyusza, ale monsignore Butti audytor zastępował go w urzędowaniu. Polaków to zawsze gniewało, bo niewielki prałat rzymski, ogromną sobie przywłaszczał władzę nad całym duchowieństwem polskim. Bieliński chciał nuncyaturę wypowiedzieć wojsku na sejmie. Krajewski miał mu dostarczyć potrzebnych wiadomości, najprzód kto jest ks. Butti i na jakiej zasadzie pod niebytność nuncyusza odbywają się w Polsce sądy nuncyatury? (ks. Gacki o Skaryszewie, w Pamięt. rel. mor. 1853, Tom XXV str. 376).

Król prosił listownie Bielińskiego, żeby się chociaż wstrzymywała szlachta od dalszych kroków, aż póki nie powróci do Polski i sporu o osobiście nie załagodzi (3 marca 1753 z Drezna). Ale marszałek nie ustawał w zaciętości. Odpowiedział, że nie on pierwszy powstał jawnie przeciw zgorszeniu, które i dawniej sądziło się w grodach, ziemstwach i trybunałach. Pozwany ze wszystkich dóbr mazowieckich, równie ze szlachtą garwolińską, liwską i czerską, o dziesięcinę do stołu biskupiego, musiał się bronić. Minister obowiązyany był do straży praw, obowiązany do tego przysięga. Zapozwy szlachty przed duchowne sądy kłóca stany, appellacja do Rzymu uboży szlachtę. Chociażby się i cofnął, co to pomoże, kiedy wszyscy zaczepieni i bronić się muszą? W Lublinie zdaje się większe jeszcze będą sprawy, jak w Piotrkowie. Stara to rzecz; województwo krakowskie już r. 1695 skarżyło się na ucisk od duchowieństwa w instrukcyach sejmowych. Niechaj król użyje pośrednictwa biskupów i senatorów świeckich; niechaj biskupi przewyciężą się i sprawy takie przed sądy świeckie odsyłają i t. d. (Gacki tamże). Szereg zażeń powtórzył Bieliński w piśmie podanem prymasowi dnia 15 maja 1753 r. Wykazał tam nadużycia duchowieństwa te, co w liście do instygatora kor.

Proszono stolicy apostolskiej, aby wyznaczyła kommissją z osób duchownych i świeckich do stanowczego ugodzenia tej zawilej a gorszącej sprawy, według praw polskich. Stało się zadosyć temu życzeniu. Bieliński był jednym członkiem tej kommissyi, Adam Kępski, sekretarz łaski w. kor., achates Bielińskiego, drugim. Było i innych wielu, ale ci, najważniejsi i najznakomitsi, wszystko znaczyli. Kępski był to człowiek w naukach i w prawie tak świeckim jak duchownym niezmiernie biegły. W kommissyi był więcej stroną jak sędzią, a nadto zagłuszył i zwalczył rozumowaniami wszystkich kommissarzy strony duchownej. Sprawa była pomiędzy konsystorzem warszawskim a dwiema ziemiami, ztąd inni biskupi jej nie popierali, może przez obawę. To pewna przynajmniej, że biskup poznański, o którego dochody także chodziło, ksiądz Teodor Czartoryski, acz tak potężne mając koligacje, dla świętego spokoju, który kochał nad wszystko, gorąco do serca sprawy nie brał, a jego officjał warszawski ks. Antoni Ostrowski narazić się nie chciał nikomu, tém bardziej marszałkowi, bo myślał o promocji. Była to więc przedziej dysputa niż rozprawa. Kępskiemu nikt poradzić nie mógł, a jak świeccy raz górę wzięli nad duchowieństwem, tak już pisali co chcieli. Nietylko sądom ziemskim przyznano władzę wyrokowania w sprawie o dziesięciny, ale same nawet dziesięciny wytyczne w ziemiach warszawskiej i czerskiej zmiesiono, pod warunkiem żeby szlachta wchodziła z duchowieństwem w dobrowolne o nią ukła-

dy, według bulli Urbana VIII. Naturalnie tém bardziej sprawy o summy kościelne, o zapisy, o testamenta po zmarłych, które dawniej konsystorze rozstrzygały, przeszły zupełnie do sądów świeckich.

Tak Bieliński dokonał wielkiego przeobrażenia prawnego w rzpltej. Wyrok kommissyi warszawskiej stał się wzorem dla innych dyceyji. Szlachta opuściła sądy duchowne i ugody zawierala o dziesięciny. Nie trzeba mówić, że duchowieństwo wiele, nietylko pod względem praw swoich, ale materyalnie straciło. Trybunały obadwa podług wyroków kommissyi sądziły. Powaga konsystorzów znacznie upadła (Kitowicz t. II str. 71).

Bieliński w czasie tego sporu drukował przy „Dziejach w Koronie polskiej“ Górnickiego dziełko, które sam wytłumaczył z francuzkiego, z Russela, o sprawach jakie mają Polacy z dworami cudzoziemskimi (Intérêts des Etats de l'Europe, Bentkowski, tom II, str. 642).

Jednakże dla Warszawy panowanie Bielińskiego było dobroczynne. Żaden marszałek koronny tyle co on nie zostawił po sobie śladów w dziejach stolicy. Żelazną jego rękę znać było wszędzie. Skoro tylko objął łaskę wielką, w kilka miesięcy zagaił na ratuszu Starego miasta kommissją jeszcze z r. 1685 względem reperacyi dróg, bruków i kanałów w Warszawie (grudzień 1742, Kuryer Polski nr. 344).

W istocie miasto porządniejszą przedko przybrało postać. Nastal bruk lepszy, latarnie w nocy oświecały ulice. Potem Bieliński z pomocą kommissyi brukowej miasto pomierzył, dla sprawiedliwszego pobierania podatków. Przeprowadził albowiem ustawę, aby wszyscy właściciele kamienic i dworków płacili od łokcia gruntu, ile ich domy zajmują na ulicy; lepsze ulice i miejsca pożyteczniejsze, bogatszy dom, płaciły oczywiście więcej. Skutkiem tej ustawy, nastąpił pomiar wszystkich przedmieść i ulic Warszawy przez budowniczego Jana Fontannę (1743 r.). Podatek był niewielki i ledwie na urządzenie i utrzymanie kar wystarczał; zaległości pozostały znaczne na ludziach nie ubogich, ale bogatych. Bieliński zawstydzal publicznie, drukując ich nazwiska, ale to nie nie pomagało. Bieliński dla wsparcia miasta nie żałował swego grosza; wyrabiał też u króla na radzie senatu kilka razy wsparcie dla miasta (w r. 1744 po 5,000 co rok ze skarbu miano płacić, a rady z roku 1748 i 1758 przez 42 lat po 40,000 co kwartał na tenże sam cel przeznaczyły). Bywały i ze skarbu zaległości, bo pieniędzy nie było; wyrobił więc później Bieliński polecenie do skarbu, ażeby się wypłacił ze wszystkich zaległości (r. 1764). Chociaż brakowało więc pieniędzy, ale dlatego miasto oczyszczało się; było niegdys w niem pełno błota i kałuży, powietrze miało niezdrowe dla kanałów, ludziom do niego przystęp utrudniony, przez co brak dowozu i drożyzna. A przez lat 20 wiele się zmieniła Warszawa. Na pamiątkę ukończenia bruków w mieście, Bieliński wystawił własnym kosztem posag św. Jana Nepomucena, który dzisiaj stoi na placu nazwanym *pod brzemna krzyżami*. Posag ten kosztował go złp. 2448. Kazał potem według nowego wymiaru sporządzić mapę Warszawy z przedmieściami; zajął się tą pracą podpułkownik inżynierii Ricaud de Tiregaille i wydał obszerną na czterech arkuszach mapę, pierwszą podobno tak porządną i w Polsce wykonaną, r. 1762. (Sobieszczański, Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu m. Warszawy str. 79—80).

Z ulic miasta usunął Bieliński żebraków, którzy leżeli po barlogach. Odsyłał ich do szpitali, które także wziął pod swoje bliższą opiekę.

Nareszcie założył w stolicy nową jurydykę, miasteczko Bielinę (15 maja 1757 r.). Sądził że tém doda nowej ozdoby miastu. Ustanowił osobnego wójta i czterech ławników w Bielinie, ale cechy poddał pod zarząd ogólny Warszawy. Jurydyka Bielińskiego obejmowała całą ulicę Pańską, w miasto rozciągała się aż do Jasnej i Szkolnej, więc obejmowała większą połowę ulicy Sto-krzyżkiej, większą część Marszałkowskiej, całą Zielną i Wilczą, a opierała się aż o Żelazną.

Nie dla Warszawy tylko był tak łaskaw Bieliński. Wszędzie zaprowadzał porządek. Czersk, w którym starostował, wiele mu także winien. Miasteczko to, stolica niegdys Mazowsza, tak bardzo podupadło, że liczyło tylko dwunastu obywateli w nędznych i ubogich domostwach. W zamku nadruinowanym odbywały się sądy grodzkie. Bieliński swoim kosztem kazał zamek naprawić; wydał na tę rzecz przeszło 24,000 złp., ale zaburzenia w ojczyźnie roboty nie pozwoliły dokończyć. Dom tylko stanął murowany w obwodzie zamku dla archiwum. Był tam także dawniej most zwodzony; marszałek wystawił nowy o dwóch arkadach, murowany, co poświadcza tablica kamienna ze stosownym napisem (z roku 1762). Wybudował również ratusz drewniany, za co miasto ustąpiło mu dożywo-

cia z propinacyi na Karczewszczyźnie. Jednakże, powodowany ubóstwem mieszczan, darował im i propinacyę, i czopy, i drugie daniny, które mu jako staroście należały. (Cz. str. 31—50, Star. Polska t. I str. 391).

W borach które otaczały Karczew, marszałek wyprowadzał czasami łowy dla Augusta IIIgo, który tylko strzelać do celu, słuchać opery i polować lubił. Bywały w lasach karczewskich łosie, dziki i niedźwiedzie. Dla króla zład miła uciecha, zwłaszcza wowym czasie, kiedy wygnany z Saksonii, bawić ciągle musiał w Polsce. Do Otwocka przejeżdżał się, a ztamtąd na łowy. Król lubił marszałka; dał mu starostwo pilźnieńskie w sandomierskiem, potem rohatyńskie w halickiem, jedno i drugie z wójtostwami, a przedmieściu pilźnieńskiem, w Podgrodziu i Firlejowie; pierwsze 11 września 1744 po Anastazyi z Grabkowskich Oleszyńskiej kasztelanowej inowłodzkiej, a drugie 27 lutego 1759 po śmierci Szymona Łabeckiego (Kuryer Polski nr. 10). Pierwsze odebrał król wdowie, że ni by bezprawnie je trzymała. Ale to był wybieg tylko marszałka, który wykupywać musiał wójtostwo pilźnieńskie, a zaraz sobie wyrobił pozwolenie zbycia całego starostwa (22 grudnia 1744, Sygillaty ks. 26 fol. 162 i 184). Dał mu król i chorągiew hussarską po Żałuskim biskupie krakowskim (Kuryer Polski nr. 52, w grudniu 1758).

I król i jego marszałek byli już wtedy obadwaj wdowcami. Pani Bielińska niewiele co przed królową umarła, po kilku miesiącach choroby (w Warszawie 17 stycznia 1755 r. o godz. 3¼ po południu, piszą gazety). Nie zostawiła mężowi żadnego potomstwa. W pierwszym roku małżeństwa była jakaś nadzieja; Bieliński śpieszył z Pruss na słabość żony do Warszawy (w październiku 1730, Kuryer Polski nr. 41), ale Pan Bóg nie pobłogosławił.

Pogrzeb wspaniały wyprawili Bieliński żonie, z którą jednakże ćwierć wieku przeżył. Ciało z pokoju wyniesiono na wielką salę pałacową, na której wiele ołtarzów ustrojono. Po kilku dniach eksportowane było do kościoła reformatów przez trzech biskupów, to jest inflanckiego, którym był dawny oficyał warszawski ks. Ostrowski, i dwóch Żałuskich, braci rodzonych, uczzonego referendarza i sekretarza koronnych, Józefa Jędrzeja i Marcina. Referendarz, prawda, nie był jeszcze wtenczas biskupem. Marszałek arcyświecnie chował żonę, dużo z jej pogrzebem robił zachodów, widząc ją kochał. W kilka miesięcy sprawiał jej u reformatów uroczysty pogrzeb (17 maja). Fontanna, kapitan wojsk koronnych, budował gotycki katafalk w kościele. Mszę wielką celebrował biskup łucki Antoni Wołłowicz. Mowę żałobną miał ks. Kiełpsz, jezuita, kaznodzieja kollegiaty św. Jana; w końcu wystąpił młody kasztelan chełmski Ignacy Krasicki, w imieniu swoich spółuczniów z kollegium pijarskiego.

Co do Kiełpsza, zanotować musimy ważną okoliczność. Naród powstawał z uspienia; panegiryki przestawał lubić, bo myślał więcej. Dlatego powiedziano z góry Kiełpszowi, żeby wśród obrazu nicości rzeczy ludzkich, nie się nie wdawał w pochwały, dobre dla wesel, a mówił o samej śmierci. Marszałkową pochowano w grobach Bielińskich (opis obszerny w Kuryerze Polskim n. 86).

Zład więc bezdzietny marszałek, starym już będąc, cały swój majątek na synów brata Michała, wojewodów chełmińskich, dla zachowania imienia. Zznał swoje wole w aktach metryki koronnej w maju 1759 r. (Kuryer Polski n. 22). Dwóch było wojewodów Franciszek i Stanisław; pierwszemu z nich ustąpił starostwa czerskiego, drugiemu garwolińskiego. Rozporządziwszy się tak z majątkiem, marszałek ostatnie lata życia w niepokojach wielkich przepędzał, a dumą i brak politycznego stanowiska wszystkich tych zajęć były powodem.

Jakiego był stronnictwa marszałek w Rzeczypospolitej? o tém sam podobno nie wiedział. Projekt na sejmie kiedyś podany świadczyłby na stronę jego reformatorskich dążeń, ale jak powiedzieliśmy, taki program mieli wszyscy na zawołanie. Ktoby chciał naprawdę reformować Rzplite, musiałby głębiej sięgnąć i o czynie myśleć. A marszałek milczał i gorąco tylko stan obecny rzeczy utrzymywał. Dlatego wśród walk wewnętrznych wstrząsających podówczas Rzplite do gruntu, wśród ludzi czynu i wśród ludzi oporu, Bieliński, jeden z najważniejszych filarów Rzplitej, stoi jak głaz zimny, nieporuszony, powiedziałbyś posąg marmurowy, skamieniały człowiek. Nie przechylał się na żadną stronę, nie umiał zdać przed sobą sprawy z tego co się działo w Rzplitej. Dwór miał osobistą jego przychylność, król jeszcze większą, ale dlatego nie występował nigdy Bieliński z Brylem i Mniszchem przeciw Familii. Wszyscy panowie obliczają siły swoje, gotują się do walki: ci monarchii chcą swobodnej, ci Rzplitej szlacheckiej, jak dotąd; Bieliński jeden bez

myśli i woli. Dlatego jeżeli zdarzało się że czasami chylił się na jaką stronę, był to skutek cudzych zabiegów, którym mimowoli ulegał. Nie szedł nigdy za jaką zasadą, ale za usposobieniem chwilowem, powiódłszy po prostu, za dziwactwem. Co Rzplitej było z takich ministrów? Wszystko w niej gotowało się do przesilenia, które tém cięższe być miało, im więcej było takich niewyraźnych, bez duszy postaci, którzy nie pomóżd nie mogli, a każdemu przeszkadzali.

Dwór był w nieporozumieniu z hetmanem Branicim, obrońcą szczerem wolności szlacheckiej. Przyjechał podówczas do Warszawy poseł turecki. Hetman znajdował się w stolicy. Trzeba wiedzieć że hetman z urzędu zawsze, jako strażnik granic, znosił się z Turcją; miał nawet osobną swoją reprezentacyą w Stambule; wyrobił zwyczaj narodowy z tego prawo historyczne, którego każdy hetman święcie przestrzegał, dla samej powagi swojego urzędu. Paszowie, wezyr, nawet czasami sultan, z hetmanem prosto się znosili. Poseł tedy, stanąwszy w Warszawie, a dowiedziawszy się że hetman obecny, najpierwszą wizytę miał mu oddać. Według tego zwyczajowego prawa miał do niego listy od wielkiego wezyra. Gdyby nie zastał hetmana w Warszawie, pojechałby umyślnie do Białegostoku. Chcąc dokuczyć hetmanowi, zauszniczy dworcy podmówili marszałka Bielińskiego do kroku, który niczem wytłumaczyć się nie pozwolił. Marszałek był pierwszym ministrem, poseł przyjeżdżał do króla i Rzplitej, więc powinien się był najprzód nie hetmanowi, ale jemu pokłonić. Bieliński posłał do baszy i zapowiedział mu, że posłuchania u króla nie otrzyma, jeżeli jego pierwszemu ministrowi ubliży. Hetman, nie wiedząc o tém, nadesłał swoje karety po baszę, sam zaś sprost do siebie umyślnie gości; ale karety powróciły z niczem. Hetman zaczął się odgrażać, że poskarży się na posła przed sultanem, a z marszałkiem Bielińskim serdecznie się skłócił. Wdali się w to hetman polny koronny Wacław Rzewuski i kanclerz Małachowski, i Braniccki uzyskał wszystko co mu należało, pan Bieliński zaś niepotrzebnie się tylko złapał. Dopiero od kanclerza dowiedział się, gdzie granica powagi jego łaski a hetmańskiej buławy, jakby sam nie żył w Polsce. Pojechał więc do hetmana, przeprosił go i na sztych wystawił niby to przyjaciół swoich, Mniszcha i Bryla. Hetman podał zaraz po francuzku obszerny memoriał przeciw Bryłowi, jak we wszystkim łamał prawa narodowe. Narobiło się wiele krzyku i żalu (r. 1758 Kronika podhorecka str. 161).

W r. 1761 marszałek pierwszy raz postanowił takse na chleb, mięso i ryby; było to po redukcji monety przez podskarbiego Wessla. Jeden minister zmniejszał wartość monety, drugi stanowił ile płacić potrzeba tej zmniejszonej za potoczne potrzeby życia. Wojna ta wybuchła znowu pomiędzy nowymi władzami kraju.

Bielińskinie był kontent i z trzeciej redukcji Wessla. Mając w Warszawie władzę i ciągle rozpoznawając w skutku tego sprawy uczynkowe o kurs monety, postanowił na własną rękę i swoją ogłosić redukcję, a o skutek się nie bał, bo miał pod sobą chorągiew marszałkowską węgierską, płatną od Rzplitej, zatem miał i potrzebną siłę. Tymfy wrocławskie, których wartość Wessel na 25 groszy ocenił, Bieliński zniżył do 15 groszy i kurs ten przez trąby kazał w mieście ogłosić. Pozorem to mu było, że wygodniejszy kurs jest taki dla wszystkich, bo trudno rozmaite tymfy rozpoznawać. Pożytek zład był oczywisty dla panów i Żydów; jedni albowiem i drudzy wykupywali nieco drożej tymfy jak po 15 groszy i po Wesslosku za 25 je sprzedawali. Panowie topili srebra stołowe z tego, Żydzi lepsze srebro wywozili do Wrocławia, sprzedawali je, a do kraju gorsze pieniądze przzywozili z Berlina i Wrocławia, gdzie na wielką skalę fałszowano monetę saską. Polska musiała brać pieniądze jakie były, bo swojej monety nie miała, gdy sejmy nie dochodziły (Kitowicz).

I taksa nie wyszła na dobre ogółowi. Bięda np. na rybaków trwała tylko pół roku. Po ogłoszeniu taksy zbiegli się wszyscy do marszałka, samowładnego jej stanowiciela, i zakupili, to jest właściwie wydzierżawili wszystkie stawy karczewskie i otwockie. Zapłacili dobrze, jak chcieli sami pełnomocnicy marszałka. Mało ryb dużych było na placu, spółzawodnictwo wielkie, jeden przepłacał drugiego. Jurysdykcya marszałkowska patrzyła przez szpary na to co się działo przeciw taksie i wadze. Ryby nanowo zdrożały, ale piekarze odpokutowali za rybaków; jak złe był chleb wypiekany lub niedoważał, zabierano go na szpitala.

Takie operacye finansowe nie zalecały marszałka, a Wessla z nim na zawsze poróżniły.

W r. 1762 pisał marszałek list na sejmiki przedsejmowe, żeby szlachta obmyśliła sposób dochodzenia sejmów. Kręślił obraz nieszczęść Rzplitej z tego powo-

du. Powtarzał że chce większości, bo przez większość niegdyś dobrze się działo w Rzplitej, a przez liberum veto odpadło tyle krajów. Zalecał i chwalił bardzo dzieło Konarskiego: O chwalebny rad sposobie.

Dlaczegoż po tém wszystkim Bieliński występuje w bezkrólewiu przeciw reformatorom i staje w poprzek Familii? Przyjechał natychmiast z Otwocka i sądy marszałkowskie otworzył, mając je sędzić aż do kapturu. Ale w lutym 1764 r. ciągnął je dalej, a dąsał się tylko zjecha na Czartoryskich, bo nie śmiał rozpocząć jawnej wojny. Inni przywódcy stronnictwa szlacheckiego, więcej otwarci, odważniejsi, zaciejsi byli. Idei swojej na ofiarę nieśli osoby i majątki. Marszałek jeden był jak posąg nieruchomy. Szalał pocięchu, bo nie miał siły; łaska jego przestała już być dla ludzi postrachem. Złamał swoje siły, doznał wielkiego upokorzenia. Dlatego zaciętość jego ku Familii wielka, a szła w miarę powodzeń stronnictwa reformy. Niesprawiedliwa zaciętość, bo osobista. Czartoryscy prowadzili przecież za sobą to panowanie większości, którego tyle Bieliński pragnął.

Gdy kaptur sądził w bezkrólewiu, wszystkie sądy ustawały w Rzplitej. Wezwano więc marszałka, ażeby zalimitował swoje sądy. Ale Bielińskiemu się zdawało, że na barkach swoich przeniesie Rzplite, i nie ustąpił. Łamał więc z zimną krwią prawo, surowy prawa przestrzegacz. Kaptur w Warszawie otwarty był nietylko dla jednej ziemi, ale dla całego województwa mazowieckiego. Zalimitował się natychmiast po wielkiej noży, a marszałek sądził.

Przeciw sejmowi konwokacyjnemu podpisał manifest republikanów, razem z biskupem kamienieckim, z hetmanami Branicim i Rzewuskim (7 maja). Ale kiedy republikanie, logiczni z sobą, ustąpili z Warszawy, że tu opierać się nie mogli i chcieli na prowincyi powoływać szlachtę, ażeby stawała w obronie dawnych wolności, Bieliński został w Warszawie, dalej prowadzić bez celu i bez siły wojnę. Sam się z wysokości majestatu marszałkowskiego obalał. Sądził że to dawne jeszcze czasy, że kiedy łaską pogrozi, padną przed nim na kolana, a nie widział że nawet i liberum veto sejm konwokacyi nie zerwało. Mimo to jednak, nie rozpoznawszy nie w ciemnościach które umysł jego otaczały, pierwszego dnia zaraz usunął z zamku swoją chorągiew węgierską marszałkowską, która miała być strażą honorową sejmu według prawa. To się znaczy, bezsilny jeden człowiek karał sejm, ubliżał jego powadze, czyli nie uznawał go poprostu. Z początku zasłaniał się tym pozorem, że wojska obcego dużo było na zamku; gdyby wystąpił ze swoją strażą, mógłby łatwo wywiązać się bój, krew popłynęła. Ale to było wrażenie pierwszego dnia tylko, drugiego dnia straży dawać nie chciał, bo sejm w jego oczach był gwałtem, co obalał swobody w Rzplitej. Może tak i było: epoka złotych wolności przemijała bez nadziei powrotu; ale ze strony Bielińskiego nie było to ostatnie zapomnienie się? Większości dopominał się, a miał teraz przed sobą konfederacyą, w której nawet według nierządnej konstytucyi Rzplitej, rozstrzygała większość.

Surowo go też za to wykroczenie ukarała konfederacya. Prymas posłał 10 maja Potkańskiego, podkomorzego sandomierskiego i Gurowskiego starostę kolskiego, ażeby straż sejmowi przywrócił. Marszałek żądał najprzód rozkazu na piśmie, potem przyciśnięty, prosił o 24 godzin namysłu, wreszcie gdy się go posłowie o kategoryczną odpowiedź pytali: „tak czy nie?“ słowa konały mu w ustach. Chciał coś i nie chciał. Lękał się, a pragnął odważnego udawać. Sessyą sejmową 11 maja zaczęto od tej relacyi; prymas chciał dalej w obradach postępować, ale Glinka poseł łomżyński wnosil, żeby wprzód skończyć z łaską. Chodkiewicz ze Żmudzi pierwszy się odezwał, żeby hetmanowi odebrać dowództwo; Glinka zaraz drugi, żeby marszałkowi odebrać chorągiew węgierską. „Jakiem prawem, mówił Glinka, jmc. pan marszałek, lubo minister, przecież Rzplitej sługa, kazał odstąpić tymże żołnierzom, którym Rzplita płaci?“ Ciężkie słowa dla pychy. Świat się zmieniał. Za czasów saskich, gdyby marszałek największą zbrodnię popełnił, nazywaliby go wszyscy na sejmie wielkim w ojczyźnie mężem, senatorowie, posłowie, a cóż dopiero szlachcie, urzędnik ziemski, nie pan i nie bogaty? Glinkę poparł Rościszewski poseł plocki. Zasadami z czasów saskich tchnął jeszcze Jacek Jezierski, poseł lubelski, bo przebaczał urazę Rzplitej, za dawne zasługi ministra i radził mu czas zostawić do namysłu. Piaskowski z Wołynia węzeł gordyjski po Aleksandro-wemu myślał przeciąć i radził dać rozkaz rotmistrzowi chorągwi marszałkowskiej, żeby Rzplitej słuchał, nie Bielińskiego. Byłby to cios okropny dla pychy, bo nawet pozorów jej nie osłaniał. Bukowski z Rusi dziwił się, że marszałek nie miał względu na powagę Rzplitej, gdy bezpieczeństwo samego prymasa wymagało

straży. Oskierko z Mozyskiego wnosil, żeby raz jeszcze kogo z senatorów i posłów wysłać do marszałka. Kraszewski z Inowrocławskiego myślał zupełnie marszałka zostawić w spokoju i radził, żeby książę wojewoda ruski chorągiew zwykłą zastąpił przez straż gwardyi pieszej koronnej. Bukowski przerwał to rozumowanie uwaga, że przepuścić sprawy tak nie można; odjęcie warty jest dla sejmu „osobliwą dotkliwością.“ Toż samo powiedział Niszczycki poseł płocki; krzywdzić się rzplita nie powinna pozwalać, bo ustąpiwszy w jednym, ustąpiłaby i w drugim, a zresztą sam regiment gwardyi koronnej rozdzielony jest i ciężko mu było zastępować powinność marszałkowskiej chorągwi. Biskup płocki radził wysłać do marszałka Tadeusza Burzyńskiego kasztelana smoleńskiego i Ponińskiego starostę kopanickiego. Trzebiecki z Kujaw chciał nie tylko do marszałka, ale i do hetmana posyłać. Sosnowski pisarz polny litewski mówił o zostawieniu Bielińskiemu 24 godzin do namysłu. Mostowski wojewoda pomorski prosił o wydanie rozkazu do chorągwi, żeby słuchała rzplitej i radził ją oddać pod rozporządzenie marszałka w. lit. Ogińskiego, który trzymał z sejmem. Gdy Gozdki wojewoda podlaski toż samo zdanie oświadczył, książę prymas odezwał się, że już poprzedniego dnia wydał takiż rozkaz Fournierowi rotmistrzowi chorągwi. Książę wojewoda ruski radził oddać chorągiew Ogińskiemu, „jako miejsce za marszałka w. k. na tym sejmie zastępującemu.“ Na to Niszczycki cytując z rzymskiego pisarza rozpałał namietności: usque quo servi nostri dominabuntur nobis? Dopókiż to, wołał, sługi nasze będą nad nami przewodzić? Bukowski chciał, żeby ten rozkaz książę marszałek sejmowy zaraz podpisał. Ostatnie więc błyski powagi zdzierano z Bielińskiego. Rzadko kto w życiu dał się tak dobrowolnie zabijać, bez walki. Gdybyć marszałek zerwał jawnie z konwokacją i poszedł za hetmanami, poległby szlachetnie. Ale został, bo mu żal było narażać się, i doszedł do samobójstwa.

Ostatni cios dawnej lasce zadał wojewoda podlaski. Nietylko chorągiew, ale i jurysdykcją całą trzeba oddać, mówił, Ogińskiemu. Było to żądanie logiczne. Kiedy na sejmie już marszałek litewski zastępował koronnego, prawo powinienby mieć całe, bez podziału i wszędzie, zwłaszcza że on jeden tylko co z rzplitą pozostał. Wszyscy trzej inni marszałkowie zerwali z sejmem; ale Mniszech nadworny koronny i Sanguszko nadworny litewski, nie siedzieli jak Bieliński w Warszawie.

Książę marszałek poselski kazał czytać projekt rozkazu do Fourniera. Na wniosek Wielopolskiego koniuszego kor. dodano do projektu, żeby chorągiew wykonała przysięgę na wierność dla Ogińskiego. Horain poseł wileński przestrzegał niepotrzebnie, że chorągiew węgierska mogła przed rozkazem gdzie wymarszerować na rozkaz Bielińskiego. Marszałek nie posunąłby się do takiego stopnia; wojny z przemocą unikał. A jednak bali się go sejmujący. Prymas zaklinał księcia wojewodę ruskiego, ażeby pilnował tej chorągwi. Władysław Gurowski wniósł, żeby księciu dać stosowny rozkaz. Wilczewski poseł wiski chciał, żeby książę w razie nieposłuszeństwa rozbroił chorągiew. Glinka nalegał o rozkaz. Przeczytano projekt natychmiast i podpisał go prymas z księciem marszałkiem poselskim. Miał wojewoda ruski zupełną władzę pilnować chorągiew, rozbroić, Ogińskiemu ją oddać. Ale niepotrzebne obawy. Przed końcem jeszcze sessyi stanął ks. wojewoda dobrowolnie przed stanami rzplitej, rozkaz przyjął i natychmiast przysięgę wierności dla Ogińskiego wykonał. Bieliński upadł ze szczętem, okropnie. On, co od wszystkich wymagał posłuszeństwa, zginął sam za nieposłuszeństwo; wzyuty z urzędu i władzy, był ukarany jak prosty szlachcic. Zmarł się okropnie i wyjechał do Otwocka, z postanowieniem, żeby nigdy do Warszawy nie powrócił.

Walczył niestawnie, niesławniej jeszcze skończył. W Otwocku namyślił się inaczej na samotności i już w czerwcu postanowił odstąpić od manifestu przeciw sejmowi, uznawał rzplite w konfederacyi (Kronika podnorea str. 225). Pierwszy z tych co jako republikanie występowali, ugiął się przed koniecznością. Nie chciał przeżyć swojej władzy; ale mu wstyd jednak było. Powrócił więc do Warszawy i osiadł w pałacu swoim, martwiąc się i chorując. Nikt u niego nie był, i marszałek też do nikogo nie jeździł. Domowi zabawiali go pochlebstwami i próżnymi gawędami; dla zdrowia nie chcieli go drażnić. Ale po elekcyi Stanisława Augusta, której nie podpisał, zląkł się i ogłosił reces od manifestu, prosząc tylko o przywrócenie siebie do władzy. Synowcowie elekcyą podpisali razem z ziemią czerską. Odpowiedziano mu że może zrobić to tylko sejm koronacyjny.

W istocie 4 grudnia podniesiono projekt „przywró-

cenia jurysdykcyi marszałkowskiej.“ (Vol. legum tom VII str. 344). Nic tego dnia nie postanowiono, bo król zajęty był rozdawaniem pieczęci. Nazajutrz dopiero Karniewski poseł różański przypomniał projekt o Bielińskim, a stany po trzechkrotném zapytaniu, zezwoliły dnia 5 grudnia na przywrócenie władzy marszałkowskiej taką, jaką była przed laty.

Bieliński odzyskał energią, ale nie były to dawne czasy. W mieście tylko ład utrzymywał. To już nie minister i surowy sędzia, ale prosty naczelnik policyi, tyle mu władzy pozostało. Chciał zapobiedz nieumiarowanej drożyznie. Ogłosił więc, że każdemu wolny dowóz do miasta: chleba, mięsa, kaszy, ryb, mąki i słoniny, łądem i wodą; dotąd tylko cechowi ludzie mogli zaopatrywać w żywność Warszawę, Żydom zaś to najsurowiej wzbrownione było. Podatków za to żadnych nie płaciło się. Przekupniom zakazał wybiegać za rogatki po kupno, w Warszawie była po dawnemu taksa. Kommissya mennisza prosiła marszałka, żeby ogłosił surowy zakaz przetapiania dobrych pieniędzy, czém głównie zajmowali się Żydzi. Mogła to od siebie ogłosić, ale prosiła marszałka, żeby mu tę małą roskosz zostawić, że w mieście wszystko idzie tylko od niego (w czerwcu 1765). Sam marszałek podał królowi memoryał o brukach i ochędostwie Warszawy. (24 października 1764, Sobieszczański).

W r. 1766 Bieliński zapadł tak ciężko, że za niego wziął gospodarstwo i sądy w mieście książę Sanguszko marszałek w. lit. Wyszedł z niebezpieczeństwa na chwilę, potem dwa miesiące leżał. Z początku zaraz opatrzył się sakramentami na drogę wieczności. Umarł w pierwszych dniach sejmu Czaplica, 8 października 1766 r. w Warszawie o 4ej rano. Pochowany w Czersku, w kościele który postawił. Żył lat 83. Na sejmie odebrano wtenczas marszałkom nazwsze rządy dworu królewskiego (Vol. VII. 467).

Julian Bartoszewicz.

## JAREMA,

studjum

Z WEWNĘTRZNYCH DZIEJÓW GALICJI,

przez

Jana Zacharyasiewicza.

I.

### Przed dwudziestą laty.

Na prostym wozie, sianem wysielonym, jechał młody mężczyzna w czapeczce urzędnika. Naprzeciw niego siedział drugi, starszy, o czerwonych, szerokich policzkach. Z rubasznych jego ruchów można było wnosić, że to jakiś służący urzędowy. Na worku sieczki przykucał chłop, zachęcając konie batem i lejcamy do przedniego biegu.

Młody mężczyzna palił fajkę piankową i patrzył w prawo i lewo na rozległe pola. Amtsdiner (1) kłął po rusku i węgiersku i łokciem szturchał chłopą, aby prędzej jechał, a chłop smagał batem biędne konięta i obiecywał im w najbliższej karczmie sieczki i wody.

Dzień był lipcowy, gorący, okolica dosyć równa, przecięta szeroką rzeką na dwie połowy. A droga którą jechali nasi podróżni była prawdziwie polska, kręta i wązka, tak jak ją sam Pan Bóg stworzył. Młody urzędnik miał więc co kilkaset kroków rozmaite niespodzianki. Tu dziura w moście, tam znowu most bez dziury, tu jakaś jama, a tam grobla w poprzek drogi... a co chwila to nowy skręt, nowe widoki, a co wiesz to inne, gorsze psy, które podróżnych na wszystkie strony oszczeziwały—słowem, wszystko to było dla niego jakimś dziwnym, pełnym rozmaitości album, które go z razu bawiło, a w końcu niemiłosiernie męczyło.

— Armes Land! (2) westchnął młody urzędnik i palił dalej fajkę. A Amtsdiner kłął i szturchał chłopą pod zebra.

Nagle zaskoczyła im drogę nowa niespodzianka. Nie była to ani dziura w moście, ani kałuża, które dla polskiego chłopą żadnej nie stanowiłyby w drodze przeszkody, bo je zreczenie omijać umiał, ale była to góra niepospolita, która jakoś tak nagle przed nosem im wyrosła, że sobie tego na żaden sposób wytłumaczyć nie mogli. Urzędnik wyjął fajkę z ust, Amtsdiner przestał chłopą szturchać i obaj wpatrzyli się w górę, która jakoś na skręcie drogi, z pomiędzy drzew ogrodu nagle wystrzeliła. Chłop tylko nie o-

kazał zadziwienia. Zlął z worka sieczki i zaczął iść piechotą koło koni, dodając im ducha do mozolnej pracy.

Wyrosła wśród równiny góra, otoczona była ogrodami, jakby wieńcem zielonym.

— Co to za wies? zapytał chłopą młody urzędnik.

— Ta wies nazywa się „Nowawies“, odparł tenże, a tam hen jest dwór, a ta góra „Nowagóra.“

— Nowagóra? powtórzył zciha urzędnik, zdziwiony tą szczególną myślą, że mogą być nowe i stare góry. A że to był człowiek nauki, zaczął więc Amtsdinerowi opowiadać o wulkanicznym tworzeniu się gór i zacytował kilka przykładów z oceanu Spokojnego, gdzie co noc kilka nowych gór i wysp wyrasta, a kilka w ton morza zapada. Chłop machał biczem i szedł koło koni. Urzędnik wyczerpał swój temat o wulkanicznych wybuchach; ciekawy był jednak, jak chłopski rozum podobne zjawiska natury pojmuje.

— A wiesz ty dlaczego ta góra nazywa się Nowagóra? zapytał chłopą, mrugnawszy dowcipnie na Amtsdinera.

— A dlaczegożbym nie wiedział? odparł zagadnięty, wszysey ludzie wiedzą o tém.

Młody urzędnik uśmiechnął się i odgarnął włosy od ucha.

— A toć to tak było, panie kommissarzu, (chłop każdego pisarza cyrkulowego nazywa kommissarzem) zaczął woznica, historia to niedługa. Soltys Jędrzej z Starjwsi miał się żenić z Małgorzatą Kubową. Już były wyszły zapowiedzi, kiedy Jędrzej poznał Katarzynę, która hen w tym dworze u pana służyła. I dworka tak mu głowę zawróciła, a nawet, jak mówią ludzie, jakiegos zwielska dała mu się napić, że Jędrzej bez niej ani rusz! I w dzień ślubu, gdy już wszysey się poschodzili, Jędrzej zaprzął dwa derezowate konie, aby do Kasi ucieknąć. Małgorzata Kubowa w płacz i nuż włosy sobie rwać. Ale stare kumoszki poradziły jej, aby się udała do św. Antoniego, który w takiej potrzebie ma być najlepszym patronem. I zaczęła prosić i prosić św. Antoniego, aby Jędrzejowi rzucił co w drogę, rzekę szeroką, las gesty, albo górę wysoką. A św. Antoni rzekł do siebie: rzeki nie rzucę, bobym dużo chłopskich gruntów zatopił; lasem także popsułbym łąki; ale niewielką górę, to nikomu nie zaszkodzi. I bez tego jest tutaj mokrzyca, nie się nie rodzi, tylko szuwar i sitowie; a tak będzie ściek wody i gromada na tém dobrze wyjdzie.“ I uprosił Pana Boga św. Antoni, aby mu pozwolił między Starawsią a Nowawsią podnieść górę niewielką. Pan Bóg przystał na to, a nagle przed wozem Jędrzeja wyrosła góra. Jędrzej zaczął konie i chciał górę przebyć, ale koło mu się złamało, a jak zaczął naprawiać i sobie rozmyślać, to namyślił się wrócić do Małgorzaty. Wziął z nią ślub i miał troje dzieci, a dworska Kaśka poszła za żołnierzami.

Młody urzędnik zamyslił się, a po chwili rzekł do Amtsdinera:

— Volkspoies! Schöne Volkssagen! (1)

— I odtąd, mówił dalej chłop, kto w niedobrej myśli przez tę górę jedzie, którą nazwano Nowagóra, lub mając żonkę, kochanki szuka, ten tutaj może kark skręcić, albo przynajmniej dwa zebra złamać.

Amtsdiner przestraszył się czegoś i z trwogą spojrział na urzędnika, ten zaś uśmiechnął się i zapaliwszy świeżą fajkę, chciał właśnie zacząć rozprawiać o podaniach ludowych, gdy nagle coś pod nimi zatrzeszczało, i w téjże samej chwili, jakby jakaś niewidzialna siła podrzuciła, uderzyli się wzajem czołami i w ukośnej linii z wozu do rowu wylecieli.

Amtsdiner obmacał czempredziej kark swój i zebra, potem obmacał kark i zebra swego towarzysza, a nie namacawszy żadnego szwanku, podziękował Najwyższemu za darowaną tym razem karę, jaka słusznie za niektóre domowe sprawy spotkaćby go mogła. Nie chcąc jednak przyznać się do winy, popatrzył z ukosa na młodego urzędnika, którego w wielkim miał podejrzeniu. Widząc wszakże iż ten z największą flegmą otrząpał sobie pluderki i nad rowem usiadł, zwałił całą winę na chłopą, ponieważ to do niego należało koło, które św. Antoni tak misternie połamał. Chłop zaś kłął srogo na wszystkie strony, nie wyrażając jednak komu.

W końcu uspokojono się, a chłop rzucił kapeluszy i wziął się do naprawy. Podróżni usiedli nad brzegiem rowu, oczekując końca téj szczególnej przygody, a tymczasem, każdy po swojemu, ukrócali sobie czas tytuniem i kontemplacją.

Przecudny naokoło roztaczał się widok. Góra miała

(1) Wozny.

(2) Biędny kraj!

(1) Poezya ludowa! Pięknę podania!

kilka zagieć, w których rozsiedliły się chałupy wieśniacze i ogrody. Najwyżej sięgały lipy i topole dworskiego ogrodu, który, jak stary opiekun, wyglądał z poza czarnych strzech wieśniaczych. Między lipami bieleły się ściany dworu. Widok tych ścian różne na obu podróży czynił wrażenie. Amtdiner marzył o smacznych polskich zrazach i doskonałej kminkówce, a młody urzędnik, widząc przed oczyma jakieś białe, przezroczyste postacie, jakby rusalki lub najady, wychylające się ku niemu z poza gęstych, starych lip...

— Wår ich Kreishauptmann!... (1) mruknął pod nosem i poprawił kołnierzyków. A schodząc potem ręką na kołnierza, namacał na nim tylko jeden mizerny poprzeczny pasek, najniższą oznakę godności urzędniczej... Spuścił głowę i zasmucił się.

Śmiech szczerzy i rozgłosny, śmiech zdrowych wiejskich dzieci, wyrwał go z zamyslenia. Spojrzał przed siebie i ujrzał na zielonym pastwisku grupę pastuszków i pastuszek, którzy spędziwszy było razem, zabawiali się między sobą różnymi figlami.

Głównym przedmiotem wszystkich figlów i całej zabawy była młoda piętnastoletnia dziewczynka, o jasnych, lśniących włosach. Wzrost miała słuszny, ruchy wdzięczne i głos nadzwyczaj ujmujący. Widać było po całym ugrupowaniu, że wszyscy chłopcy starali się jej przypodobać. Jedni dawali jej kwiatki, drudzy płatali jej różne psoty, a każdy swoim sposobem chciał jej uwagę na siebie zwrócić.

Między chłopakami którzy ją otaczali, odznaczał się jeden krepny, o czarnych, kędzierzawych włosach pastuszek, mający około lat siedemnastu. Mały kapelusik nosił na bakier założony; czarne jego oczy biegały niestannie; twarz jednak miał znacznie nad wiek swój starszą. Była ona pomarszczona i pomięta i w całym swoim układzie bardzo nieregularna. Czolo występowało naprzód i znamionowało człowieka upornego. Usta były zacięte, jakby go coś wewnątrz bolało. Zgoła nieprzyjemny był chłopak, i widać było po nim, że wiedział o swoim zewnętrznym upośledzeniu. Tém ogniscię jednak strzelało jego oko na ładną dziewczynę, tэм zawistniej spoglądał na szczęśliwszych swoich rywali.

Ale złotowłosa dziewczyna wykręcała się jak wrzeczono na pięcie, śmiała się do rozpuku i wyrwała się zgrabnie, gdy ją który z figlów za kaftan pochwylił.

Wreszcie stanęła pośrodku, podniosła drobne rączką do góry i zaczęła chłopcom precudnie improwizować. Mówiła im, że tego z nich pokocha, kto jej w przetaku przyniesie wody z rzeki, kto bryłę śniegu za piecem ususzy w dzień św. Mikołaja, kto konie bez szlej do woza zaprzęgnie, kapelusz bez słomy uplecie, chleb upiecze bez mąki i masło zrobi bez śmietany...

A potem wykręciła się na jednej nodze i prawila znowu, że ten jej mężem będzie, kto jej na dłoni przyniesie złotego ptaszka, o złotych piórach, któryby za każdym podniesieniem skrzydełka gubił po jednym piórku...

Chłopcy zaczęli klaskać w ręce. Ale chłopiec o czarnych kędzierzawych włosach nie klaskał; stał ponury i zamysłony. Wnet porwał się z miejsca, jakby go coś nagle pchnęło, i co tchu zaczął biegać w kierunku, jak było widać białe dworskie ściany z poza starych lip.

Młodego urzędnika zajęła ta scena szczególna; z coraz większym interesem przypatrywał się grupie pastuchów i pastuszek. Uciekający od nich chłopak, o czarnych kędzierzawych włosach, zwrócił szczególnie jego uwagę na siebie.

Ciekawym okiem patrzył za nim. Chłopak zaś małał coraz bardziej, wreszcie jak mały czarny punkt zniknął w alei topolami wysadzonej.

Urzędnik patrzył ciągle w tę ciemną drogę, ale chłopca długo, bardzo długo nie było widać.

Wreszcie ukazał się znowu czarny punkt w alei, i stawał się coraz większym, większym, póki wyraźnie nie zrobił się z niego chłopak o czarnych, kędzierzawych włosach.

Ciekawość młodego urzędnika, który w tej chwili innego nie miał zajęcia, rosła coraz bardziej; chłopiec bowiem niósł coś w ręce i skakał z radości.

Zbliżywszy się do grupy, wykręcił się dziesięć razy w koło, na znak radości, a zatrzymawszy się nagle przed złotowłosą dziewczyną, wyciągnął ku niej rękę.

I o dziwo! Na jego dłoni siedział mały, złoty ptaszek! Dziewczyna krzyknęła z zadziwienia, cała grupa stojących poruszyła się, a złoty ptaszek rozwinął tymczasem skrzydełka i słabym lotem podniósł się z r-

ki chłopca, aby na pobliskiej brzoźce wygodniej sobie usiąść.

Wszyscy krzyknęli i podnieśli ręce do góry, ale już było zapóźno. A złotowłosa westchnęła, bo i dla niej było już zapóźno!...

— Patrz, patrz Huber! zawołał młody urzędnik do Amtdinera, chłopiec ukradł zapewne we dworze kanarka, aby się tój tam dziewczynie podobać. Ergötzliche Scene. (1).

Amtdiner odchrząknął i wytrzeszczył głupie wole oczy swoje, ale złotego ptaszka i złotowłosę dziewczynki wcale nie widział. Chciał nawet wstać i z kimś iść do bawiących się dzieci, bo tak sobie tłumaczył wykrzyknik urzędnika; ale ten uspokoił go i upewnił, że scena ta bardzo przyjemną jest dla niego dystrakcją. Powiedział mu nawet, że wieczorem zapisze ją sobie do swego dzienniczka, przyczém starał się Amtdinerowi dać jakie takie pojęcie o pisaniu dzienniczków czyli pamiętników i zachęcał go, aby toż samo uczynił, zbierając w urzędowej podróży przygody i wrażenia.

Amtdiner uśmiechnął się i przyrzekł, że dzisiaj zrobi poczetek i sprobuje jak to pójdzie.

Tymczasem w ciemnej dworskiej alei powstał jakiś ruch niezwykły. Najprzód ukazał się młody pokojowiec, z białym galonkiem u czapki, a dużym kijem w ręku. Za nim biegł jeszcze jakiś drugi chłopak, a za tym w powiewnej szacie pojawiła się młoda dziewczynka, załamując ręce nad głową. Za niemi postępował niskiego wzrostu jegomość, robiąc rękami rozmaite uspakajające gesta.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa była to pogoń za złotym ptaszkiem.

Młody urzędnik podniósł się na nogi, to samo uczynił i Amtdiner. Obaj obejrżeli starannie swoje kaputroki, (2) bo byli pewni że to dziedzic Nowejwsi zbliża się do nich.

I tak było w istocie. Za kilka chwil przybył pokojowiec, za nim dziewczynka, a niebawem przyłączył się do nich i sam jegomość.

Siedzący na drzewie kanarek popsuł wszystkim szyki; zdawało się bowiem że zamiarem przybyszów było wziąć się bezwzględnie do egzekucji, co tэм łatwiej stać się mogło, że kędzierzawy przestępca wcale nie uciekał, tylko spokojnie stał przy wyleknionej złotowłosiej dziewczynie. Ale egzekucya mogłaby spłoszyć kanarka z drzewa; potrzeba więc było najpierw myśleć o ocaleniu tego złotego ptaszka.

Młody urzędnik uważał teraz za rzecz przyzwoitą zbliżyć się do prawdopodobnego dziedzica Nowejwsi. Amtdiner sądził tak samo i podniósł już nogę, która sposobem wprost mechanicznym zaprowadzić go miała do pełnej miski zrazów polskich.

Dziedzic szczerze przywitał gościa na swojej ziemi, bo tak Bóg i obyczaj nakazywali, a dowiedziawszy się że nie jedzie do niego na sekwestracyę, zaprosił go uprzejmie na półmiskę zrazów polskich, do których w duchu trzy razy obliżał się Amtdiner Huber. Przyrzekł także postarać się o naprawę koła, za co otrzymał od młodego urzędnika dziesięć uchyleń urzędowej czapeczki i dwa razy tyle: „padam do nóg.“

Nim się ta sprawa załatwiła, siedział już kanarek na dłoni młodej dziewczynki, która przywabiała go z brzoźki znanym pieszczonym swoim głosikiem.

— Wår ich Kreishauptmann! pomyślał sobie w duchu urzędnik i zerknął z ukosa za miłą blondyneczką.

— Gdyby to zaraz zrazy polskie dali! marzył Amtdiner Huber, pozując jak mógł najwspaniałej.

— Wiele wielmożny pan każe dać Jaremię? pytał głośno pokojowiec, machając kijem.

Jegomość spojrzął na urzędnika. Samowolna egzekucya w obec władzy wydawała mu się niestosowną. Urzędnik zrozumiał to spojrzenie, a chcąc się dziedzicowi przypodobać, układał właśnie gotowy już wyrok w głowie, kiedy sobie przypomniał, że ten wyrok ubliżałby formalnościom przepisany.

Zawoławszy więc chłopca, zapytał go najprzód *ad generalia*.

— Jak się nazywasz?

— Jarema, odpowiedział chłopiec, nie tracąc odwagi.

— A twój ojciec?

— Ojca nie mam.

— Nazywał się Magdziak, uzupełnił dziedzic.

— Czy byłeś kiedy indagowany, pytał dalej urzędnik, czy siedziałeś w areszcie, lub czy cię bito? dodał po chwili, widząc że go chłopczyna nie rozumiał.

(1) Zabawna scena.

(2) Surdut.

— O bito mnie nieraz, odparł tenże, bił mnie opiekun i macocha.

I tak dalej ciągnął się protokół z delinkwentem, aż przyszło w końcu do „*species facti*.“

— Więc kanarka, jak mówi pan dziedzic, ukradłeś z klatki? W jakim celu to zrobiłeś?

— Bo Nastka powiedziała, że za mnie pójdzie, gdy jej złotego ptaszka przyniosę.

— A drzwiczki od klatki rozłamałeś, ciągnął dalej urzędnik, a to jest kradzież.....

Dziedzic uśmiechnął się na tę krotochwilną scenę, którą urzędnik z całą uroczyością odgrywał. Blondyneczka zaś z trwogą patrzyła na Amtdinera, który kij swój wyginał na wszystkie strony.

— Przecież ci Niemcy nie będą go bili! szepnęła zicha do ojca.

Urzędnik zreferował wyrok i zaczął go wygłaszać. Jakkolwiek niebardzo złą mówił polszczyzną, znać jednak było po jakimś niezbyt polskim akcencie niemieckie jego pochodzenie.

— Kradzież z włamaniem się do własności dominalnej, mówił urzędnik, popełnił wprawdzie Jarema Magdziak, ale mówią za nim różne łagodzące okoliczności. Najprzód zaniedbane wychowanie, wczesna utrata opieki rodzicielskiej, niejasne wyobrażenie o prawie własności, a w końcu namiętność, czyli raczej zbyt wygórowana żądza posiadania pięknej blondyneczki (urzędnik zerknął tu na córkę dziedzica) — wszystko to są rzeczy, które karę za jego przekroczenie sprowadzają do minimum... A jeśli do tego zważywszy że jest małoletnim, jak w ogóle lud jest małoletnim, i ma po sobie opiekę „fiskusa“, więc wnoszę, aby rzezony Magdziak tym razem uwolniony był od kary cielesnej, a poszkodowanego uprasza się, aby na drugi raz grubsze dawał druty u klatki, bo inaczej będzie karany za dawanie pokusy do przestępstw ludziom, którzy jeszcze nie mają zbyt jasnego pojęcia o własności dominalnej...

— Brawo! brawo! zawołał szlachcie, którego dowcip urzędnika zaczął na seryo bawić, brawo panie kommissarzu, (licentia poetica naszej szlachty) brawo, będziesz niezawodnie starostą!

Urzędnik uradował się, że mu się powiodło z dowcipem. Ale mała blondyneczka zato, trzymająca kanarka na dłoni, nie rozumiejąc frazesów wyroku sądowego, zachmurzyła się i rzekła:

— Ja nie pozwolę bić Jaremy, on nic złego nie zrobił, bo kanarka mam w ręku.

— Jeśli panienka dobrodziejka w ten sposób mówi, odparł urzędnik z uśmiechem, w którym można było czytać: Wår ich Kreishauptmann! jeśli panna tak mówi, to ja jako sędzia i prokurator nie będę apelował, tylko malefikanta z wolnej ręki w drodze łaski na wolność wypuszczę. Jarema Magdziak, pocałuj nogi panny dobrodziejki.

Chłopczyna stał spokojnie i wcale nie wiedział, jakie niebezpieczeństwo mu groziło. Na rozkaz urzędnika przystąpił z uśmiechem do córki dziedzica i schylił swój słomiany kapelusz do jej kolan.

— Ein Mordker!, (4) szepnął urzędnik do dziedzica. Gdybym był starostą, wziąłbym go sobie za służącego.

— Dobrze, rzekł śmiejąc się dziedzic Nowejwsi, zanim pan starostą zostaniesz, wezmę go tymczasem do siebie i przyuczę do usługi. A gdy pan ze złotym kołnierzem do mnie przyjedziesz i z Landsdragonem na kozle, to go panu oddam.

— Biorę pana dobrodzieja za słowo, odparł urzędnik, będzie to mój *protégé*.

Śmiano się i mówiono jeszcze wiele o kanarku i Jaremię, bo wszyscy byli jakoś dzisiaj w dobrym humorze. Pogoda była przesliczna; w dolinie jaśniały szerokie łany złotych kłosów; mnóstwo robotników krzątało się wokoło.

Wszyscy ruszyli w pochód do dworu. Dziedzic szedł z urzędnikiem i rozповідаł mu o processie z gromadą o most nad rzeką. Blondyneczka bawiła się z kanarkiem, wyrzucając mu jego niewdzięczność. Pokojowiec szedł z głową spuszczoną, że mu się nie udało palnąć kilkanaście kijów Jaremię, dla którego czuł jakaś nieodgadnioną antypatyę. A Jarema sam jeden włócił się z tyłu, słuchając rozkazu dziedzica. Miał to być wcale nowy epizod w jego życiu. Z trwogą spoglądał z pod oka na kij pokojowca, który był o kilka cali dłuższy od dobrze znanego kija opiekuna. Tylko uśmiechnięta twarz urzędnika dodawała mu jakoś otuchy i budziła w nim lepsze nadzieje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

(1) Zuch.

(1) Gdybym ja był starostą!